

3-4/99

PODLASKI KWARTALNIK KULTURALNY

Nr indeksu 332194 ISSN 1234-6160

Miejska Biblioteka Publiczna
w Białej Podlaskiej
DZIAŁ INFORMACJI, BIBLIOGRAFI
I WIEDZY O REGIONIE
ul. Warszawska 12
21-500 Biała Podlaska
tel. (083) 349-61-1



PODLASKI KWARTALNIK KULTURALNY

3-4/1999

Regionalny Ośrodek Kultury
Towarzystwo Miłośników Podlasia
Biała Podlaska

Podlaski Kwartalnik Kulturalny

Redaguje zespół: Danuta Bołtowiec, o. Jerzy M. Cygan, Tomasz Demidowicz, Ryszard Kornacki, Janusz Maraśkiewicz, Grzegorz Michałowski (red. naczelny), Janusz Szostakiewicz, Maria Pietruczuk (sekretarz)

Rysunki:

Roman Pieńkowski

*Wydawnictwo ukazuje się dzięki dotacji
Prezydenta Miasta Biała Podlaska*

Red. techniczny:

Grzegorz Michałowski

Skład:

Ventura - Iwona Konecka

Corel Draw - W.W.

Na okładce:

pasaż w centrum Białej Podlaskiej
(fot. Henryk Rogoziński, Białystok)

Adres redakcji:

Miejski Ośrodek Kultury

Redakcja PKK

ul. Warszawska 12 F

21-500 Biała Podlaska

tel. (0-83) 343 40 41

Druk: Poligrafia Miejskiego Ośrodka Kultury
w Białej Podlaskiej, zam. 18/1999

Spis treści

ARTYKUŁY

- Sławomir Kordaczuk*
Hołowczyce. Odkrywanie Ziemi Najbliższej 5
- Nikołaj Sinkiewicz*
Tragiczne dzieje kartuzji bereskiej 10
- Wiesław Gromadzki*
W kobiecym kręgu 20

WSPOMNIENIA

- Janina M. Teodorko-Lefèvre*
Stary dom w samym sercu miasta 33
- Henryk Czarkowski*
Żydówka 38
- Roman Łysakowski*
Fascynujące harcerstwo. Cz. II 42

PREZENTACJE

- Legenda o początkach Białej na Podlasiu 54
- Franciszek Jerzy Stefaniuk*
Moje Podlasie 60
- Henryk J. Kozak*
Wiersze 62
- "Sztukę tworzą artyści ..."
Rozmowa z *Mieczysławem Skolimowskim* 68
- Teresa Jarmoszewicz*
Jubileusz 500-lecia Sławatycz 73

RECENZJE

- Z. Oziębło, *Wierni Bogu i Ojczyźnie*
Rec. Jerzy M. Cygan OFM Cap. 78
- G. Michałowski, T. Jarmoszewicz, *Sławatycze 1499 - 1999*
Rec. Irina i Wadim Pawluczuk 83
- H. Romaszewska, *Wielolistek serca*
Rec. Ryszard Chojecki 85
- R. Ostrowska, *Mój dom*
Rec. Jerzy M. Cygan OFM Cap. 88

- KRONIKA KULTURALNA** 91

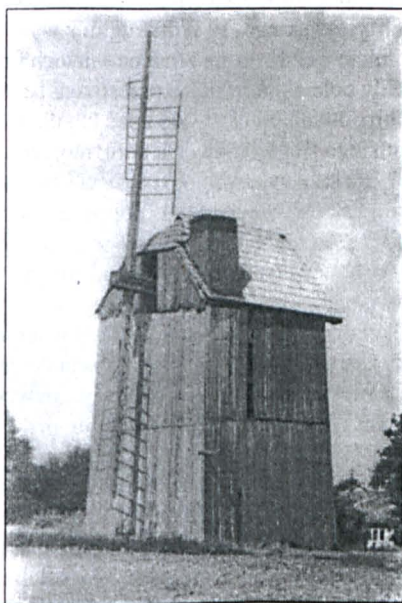
Sławomir Kordaczuk

(Siedlce)

Hołowczyce. Odkrywanie Ziemi Najbliższej

Poszukiwacze często sięgają do archiwów, starych map czy też pamięci ludzkiej. Również znajomość starych szlaków komunikacyjnych daje niekiedy nadzieję na znalezienie czegoś ciekawego. Niezwykła jest pamięć ludzka, która w tradycji ustnej przekazuje fakty sprzed setek lat, nie zawsze ujęte w formę źródeł pisanych. Mam tu na myśli lokalne nazwy różnych miejsc, a zwłaszcza dróg, wśród których np. "Granica" odnosi się do wielu znaczeń zależnych od czasu i miejsca, a "Stara Droga" wyjaśnia, że kiedyś właśnie tędy się jeździło. Poza tym "Wygon" można znaleźć w prawie każdej polskiej miejscowości, nie wyłączając miast wojewódzkich. Tymi drogami wyganiano niegdyś na pastwiska owce, kozy, bydło, konie i czyni się tak w wielu wsiach do dzisiaj.

W moich rodzinnych Hołowczycach, wsi o długości 5 km - ze znacznie obszerniejszymi koloniami, jest wiele ciekawych nazw, mających także związek z historią kraju. Na początku zacznę od nazwy wsi. Jej pochodzenie nie jest jeszcze dokładnie rozpoznane, ale poszukiwania źródeł są prowadzone i niewykluczone, że mogą okazać się owocne. Otóż w Warszawie jest pałac biskupa Szczepana Hołowczyca, który mieszkał kiedyś przy Nowym Świecie (nr hip. 1259 C)¹. Ostatnio, dzięki kierowcy rajdowemu Krzysztofowi Hołowczycowi, nazwa wsi nabrała nieco "sportowego" splendoru. W "Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów sło-



Wiatrak (koźlak) Stanisława Nazarewskiego.
Fot. autora (1984 r.).

wiańskich" miejscowość Hołowczyce jest wymieniona trzykrotnie: jako dobra w pow. wołkowyskim, wieś i folwark w pow. mozyrskim i jako wieś w pow. konstantynowskim. Ta ostatnia jest tematem niniejszego artykułu.²

Hołowczyce dzielą się na Stare i Nowe. To podział oficjalny. Przez samych mieszkańców te Nowe nazywane są Dębinami, a ci, którzy tu mieszkają - Dębińcami. Droga z tej części wsi, prowadząca do Zabuża, zwie się Dębówką lub Dębińskim Gościńcem. A to z powodu niegdyś rosnącego tu dębowego lasu, wykarczowanego podobno w czasach zaborów. Wtedy to car osiedlił tutaj unitów przesiedlonych z głębi imperium rosyjskiego. Stąd zapewne dużo nazwisk kończących się na -uk, nie wyłączając niżej podpisanego. Jak sama nazwa mówi, ta część wsi jest młodsza. W obydwu częściach miejscowości są miejsca zwane Mogiłkami. Są to zapomniane i niezbadane jeszcze przez archeologów dawne cmentarzyska, zlokalizowane na posesjach Tadeusza Budkiewicza (na Dębinach porośnięte sosnowym lasem) i Stanisława Mysłowskiego. W tym drugim z wymienionych, z racji znacznej pochyłości, znakomicie zjeżdżało się zimą na sankach i nartach.

Gdy pole ciągnie się na przestrzeni bez mała 3 kilometrów, to w wyjaśnieniu dzieciom, dokąd powinny się udać lub do jakiej pracy, pomaga nazwanie poszczególnych jego fragmentów. Na polu mojego dziadka jest fragment zwany Sadkiem, mimo, że nikt z żyjących nie pamięta aby rosły tutaj kiedyś drzewa owocowe. Odległość określano wyrażeniami: "do wiśni rosnącej na polu sąsiada", "gruszy u siebie" do "dużego głazu narzutowego", którego koźmi nie dało się z pola usunąć. Teraz, w dobie mechanizacji, tego rodzaju punkty topograficzne i elementy lokalnej kultury powoli zanikają.

Najłatwiej jednak orientować się w terenie dzięki sieci dróg. Jest "u nas" kilka granic, których część jest pozostałością dawnych podziałów administracyjnych kraju. Inne oddzielają tutejsze pola od pól innych wsi, lub las prywatny od państwowego, zwanego Rządowym. Ten ostatni podzielony jest na kwartały Liniami. Jedna z dróg leśnych zwie się Kolejką. Jeszcze w niejednym gospodarstwie można znaleźć szyny lub inne elementy z torów rozebranej niegdyś linii wąskotorowej.

Ze wsi do lasu można dojechać Ciarciaszką, zwaną tak od rosnącej przy niej tarniny (na Podlasiu określanej mianem ciarno), Zygmunówką (mieszkał przy niej Zygmunt Czerko) lub Korolówką. Ta ostatnia nazwa wedle lokalnej tradycji wiąże się z osobą królowej Bony, która jechała tą drogą na sejmik do Mielnika. W tym czasie Hołowczyce należały do Ziemi Mielnickiej. Droga pierwotnie zwąta się zapewne Królówką, ale okres zaborów rosyjskich przyczynił się do zmiany nazwy i tak już pozostało. Przy okazji warto nadmienić, że przez jakiś czas Hołowczyce należały do lekarza królowej Bony Andrzeja Zwalskiego³.

Ja natomiast najbliższemu lasowi Wygonem. Odchodzi od niego w poprzek pól jedna droga zwana po prostu Drózką, a druga to Selisna. Jest też druga Selisna w innym miejscu (na Długich Rezkach). Obydwie charakteryzują się tym, że są głębokie i mocno "nadszarpnięte" przez bystro spływające tu wody deszczowe lub z wiosennych roztopów. Wygon prowadzi do lasu zwanego Skuhyńcem. Najstarsi mieszkańcy "powiadali", że w lesie tym stał kiedyś dwór właściciela o takim właśnie nazwisku. Na radzieckich mapach nazwa ta była podawana była jako Skurzyniec.

Las ów ma także swoje osobliwości. Przy Wygonie są Jamy. W dołach, wykopanych w piaszczystym gruncie przechowywano dawniej ziemniaki. Ostatnim, który preferował tę formę kopcowania, był Józef Tobota. Weteran wojny polsko - bolszewickiej był skarbnicą wiedzy o historii wsi; barwnie opowiadał również o pieszej ucieczce z niewoli bolszewickiej w 1920 r. i wszystkim, co wówczas po drodze zobaczył.

Na rzut kamieniem od Jam są Glinki. Stąd pochodził materiał do budowy tradycyjnych pieców, a teraz w gliniankach kąpią się nocami dziki. Jest też tutaj jedno z kilku miejsc występowania kamieni pokrytych szklivem, jako pozostałość piecowiska do produkcji wapna z kredy wydobywanej w Kornicy lub Mielniku. Nieco dalej znajduje się Polowa Piec, obok terenu podmokłego, na którym jest wzgórek z resztkami cegieł. Są to widoczne jeszcze ślady dawnej karczmy, jednej z trzech na szlaku z Sarnak do Zabuża.



Zagłębienie między morenami. Pod dębem pozostałości piecowiska. W tle Skuhyniec. Fot. autora (1998 r.)

Miejsca, wyróżniające się w lesie większymi drzewami, są zwykle nazywane Choinami. Takie są i u nas, choć coraz częściej piły i siekiery doprowadzają do stanu, w którym dawniejszą nazwę przenosi tylko pamięć ludzka i dużej średnicy pień. Na koloniach, między drogami prowadzącymi do Rozwadowa i do Mierzwic, jest nieduży las zwany Choinką, mieszczący również zabudowania Kordaczuków. Na polu sąsiada Tadeusza Daniluka, przed Choinami, jest Łużyk, miejsce wilgotniejsze od otoczenia, porośnięte trzcinami. Zdarzyło mi się kiedyś wyorać między Łużykiem i dębem część przęslika wykonanego z opalu polskiego, przedmiotu pozwalającego archeologom na identyfikację grobów kobiecych. Ten, według specjalistów, pochodzi sprzed 4500 lat. Drugi Łużyk jest na łączce między zabudowaniami Stanisława Bułaskiego i Kazimierza Bąka na Dębinach. A może raczej na smugu, bo na Podlasiu łąka to ta, z której pochodzi siano. A na smugach pasie się krowy, tutaj grzebią się kury i jeśli jest nieco wilgoci, taplają się gęsi.

W lesie państwowym są trzy ciekawe miejsca: Grabowe Rowy (mroczne jary porośnięte grabami), wzniesienia zwane Czaplami i Kozi Rynek. Podobno do ostatniego z wymienionych miejsc, według legend, dociera podziemny tunel wiodący pod dnem rzeki Bug (od Góry Zamkowej w Mielniku). Zakątek jest tak dziewiczy, jak w wiekowej puszczy. Płynie tutaj strumyk, noszący nazwę Borowa Rzeczka. A nazwa - Kozi Rynek - związana jest z sarnami, zwanymi kozami. Podobnie jak kozik harcerski na koloniach. Tam na grzyby chodzą ci, którzy mieszkają na Końcu (wsi). Najwięcej rośnie ich jednak w pobliskim Zalesieniu.

Skutkiem reformy rolnej są Rezki, podłeśne obszary podzielone na kilkumetrowej szerokości piaszczyste poletka, wyrównujące przydziały poszczególnym rolnikom. Stąd nazwa pochodząca od resztek. A więc są Rezki Krótkie, Długie i prostopadłe do nich ciągnące się Poprzeczne. W znacznym stopniu są one już zalesione, lub leżące odłogiem, ponieważ zwierzyna leśna miała z nich więcej korzyści niż rolnicy. Inaczej rzecz się ma z Rezkami Dębińskimi. Są to wąskie paski łąk przydzielone Dębińcom, mieszkającym dalej od rzeki, a tym samym i od łąk. Inni rolnicy, pokrzywdzeni w podziale areału leśnego, dostali przydział na Działkach, ku którym wiedzie wspomniana już Ciarciaszka. Niedaleko od Działek, w 1941 r. Niemcy urządzili (przed inwazją na ZSRR) polowe magazyny amunicji. Front szybko posunął się naprzód, a spora część amunicji pozostała w podmokłym gruncie. Do tej pory tkwią tam chyba jeszcze pociski amunicji artyleryjskiej.

Ważną pozycję w poznawaniu historii rodzinnej miejscowości stanowią przydomki jej mieszkańców, przechodzące z pokolenia na pokolenie. Są one "echem" jakiegoś dawnego imienia czy nazwiska rodowego, zawodu, niekiedy przywarą jednego z przodków. Są też przypadki czysto praktyczne. Bo jak odróżnić trzech mężczyzn, z których każdy nazywa się Stanisław Zubkowicz i każdy jest synem Jana? W dokumentach oficjalnych podawane dane są identyczne. Otóż jeden z nich otrzymał przydomek Janów, drugi Janiów, a trzeci Janeczów. Dowiedziałem się o tym wszystkim w epoce przedtelewizyjnej, gdy - zwłaszcza zimą - istniał jeszcze zwyczaj organizowania wieczorków. Odwiedzano się wtedy wzajemnie i opowiadano różne ciekawe historie: jak to było "za cara", "za



Glazy narzutowe usunięte z pól na Wygon.
Fot. autora (1999 r.).

Niemca". Szczególnie lubiłem słuchać wspomnianego już Józefa Tobotę i Jana Dudziuka, aktywnego uczestnika wydarzeń II wojny światowej (jest on jednym z bohaterów mojej pierwszej książki z cyklu "100 spotkań z historią"⁴).



Choiny. Fot. autora (1998 r.).

Hołowczyce są usytuowane przy trasie Lublin - Białystok. Z sąsiednimi wsiami łączy je Chłopkówka (do Chłopkowa wiodąca), Płoskówka (do Płoskowa), Klepaczkówka (inaczej zwana Klepaczewskim Gościńcem, wiodąca do Klepaczewa) i droga przez Panikwy, którą można jechać do Serpelic. Inne tutejsze miejscowości mają podobne, ciekawe, unikalne nazewnictwo. Warto o tym pamiętać przy nadawaniu nazw osiedlom lub uliczkom miejskich blokowisk. Pisząc to, widzę przez okno osiedle mieszkaniowe usytuowane na dawnych Wylewach (Siedlce), a zwie się "Osiedle Młynarska", od młyna, którego też już tutaj dawno nie ma.

Przypisy:

1. J. Maldis, Ulica Nowy Świat 1815-1870: Mieszkańcy - wydarzenia, [w:] "Rocznik Warszawski", t. XXVII, Warszawa 1998, s. 189.
2. Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, Red. F. Sulimierski, B. Chlebowski, W. Walewski, Warszawa 1882, t. III, s. 108.
3. Monografia powiatu białskiego województwa lubelskiego, opr. B. Górny, s. 79.
4. S. Kordaczuk, 100 spotkań z historią: Chłopcy tamtych dni, Siedlce, s. 25.

Nikołaj Sinkiewicz

(Bereza - Białoruś)

Tragiczne dzieje kartuzji bereskiej

W południowo - zachodniej części Białorusi znajduje się miasto, które do 1940 roku nosiło nazwę Bereza Kartuska. Obecnie nazywa się po prostu Bereza. Skąd pojawiła się ta dość dziwna nazwa i co oznacza słowo "kartuz"? W czasach istnienia imperium cesarskiego urzędnicy rosyjscy wymyślili legendę, która rzekomo miała wyjaśniać pochodzenie tej nazwy. Zgodnie z jej treścią, rosyjski dowódca Aleksander Suworow, przechodząc ze swoim wojskiem przez te ziemie, zatrzymał się w niewielkiej miejscowości na krótki wypoczynek. Powiesił wtedy na jednej z brzoź swoją czapkę z daszkiem, która w języku rosyjskim nazywała się: kartuz. Kiedy wyruszył dalej z armią, zapomniany "kartuz" pozostał na drzewie ... i stąd jakoby miała wziąć się nazwa miasteczka. Prawda jest jednak zupełnie inna. Sięgając dwa stulecia wstecz, do wieku XVII, znajdujemy wiadomość o przybyciu tutaj zakonu kartuzów i założeniu przez nich klasztoru, co stało się przyczyną nadania Berezie dodatkowego członu: Kartuska.

Niezwykłe dzieje tego zgromadzenia zakonnego są w czasach dzisiejszych zupełnie nie-



znane, dlatego nie od rzeczy będzie ich przynajmniej szkicowe przedstawienie. Założycielem zakonu kartuzów był św. Brunon (1032 - 1101). Urodził się on w Kolonii, tam też pobierał podstawowe nauki. Później wyjechał do Reims, gdzie wkrótce mianowany został scholastykiem przy tamtejszej szkole katedralnej. Na początku 1084 r., w towarzystwie siedmiu kompanów, udał się w górzyste tereny znajdujące się w okolicach Grenoble. Tam, przy wydatnej pomocy biskupa Hugona, założył pierwszą kartuzję - klasztor La Grande Chartreuse. Reguły, według których żyli zakonnicy z nowego zakonu, były zmodyfikowanymi regułami zakonów benedyktyńskich (trochę bardziej zaostrzone). Od tego właśnie klasztoru bierze swój początek dalsza historia zakonów kartuskich. Zakon wkrótce otrzymał wsparcie ze strony papieża, dzięki czemu od drugiej połowy XII wieku nastąpił dość szybki jego rozwój. Na początku XVIII wieku można było już doliczyć się 170 tego rodzaju klasztorów. Należy zaznaczyć, że zgromadzenie to w swojej wielowiekowej historii przeżywało również bardzo trudne okresy. Największe "straty" poniosło ono podczas Reformacji. Wiele klasztorów, zwłaszcza w Europie Środkowej, zostało wówczas zamkniętych. Przeciwdziałając temu regresowi, część duchownych podjęła próbę odtworzenia "nowych" klasztorów kartuskich na terytoriach Polski, Wielkiego Księstwa Litewskiego i ziemiach ukraińskich. Po kilku nieudanych próbach udało się ideę tę urzeczywistnić w niewielkim miasteczku Bereza (1648 r.), w południowo - zachodniej części Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Fundatorem nowego klasztoru kartuzów był Kazimierz Lew Sapieha: podkanclerzy Wielkiego Księstwa Litewskiego, wielce pobożny, ofiarny i użyteczny dla kraju urzędnik państwowy. W dniu 20 maja 1648 r. uzyskał on zezwolenie od diecezjalnego biskupa Andrzeja Gembickiego na budowę obiektów klasztornych. W tym czasie gościł tutaj, wraz z dwoma mnichami, przeor kartuzji w Paradyżu koło Gdańska, ojciec Filip Pulman. Dostarczył on pisemne zezwolenie kapituły generalnej zakonu na organizację klasztoru w tej miejscowości. Wskazane przez Sapiechę miejsce dla powstającej kartuzji zostało przez w/w przeora zaakceptowane.

Co skłoniło mnichów do wybrania właśnie tej, a nie innej miejscowości? W ocenie świątobliwych ojców, było to ciche, malownicze miejsce nad rzeką Jasiołdą, sprzyjające odosobnionemu życiu, duchowej kontemplacji i modlitwom. Oprócz tego Bereza znajdowała się w znacznej odległości od szlaków, którymi podążali wojownicy tatarscy i kozacy. Dość oryginalną wersję podaje miejscowa legenda, według której miejsce na klasztor zostało przypadkowo znalezione przez księcia Sapiechę. Natknął się on tutaj na drewniany krzyż, co uznał jako znak dany mu "z góry". Miejscowa tradycja głosi również, że pewnego razu w okolicy tej polował z psami myśliwskimi w/w Sapieha. W pewnym momencie psy zbiegły się w jedno miejsce i głośnym szczekaniem oznajmiły uczestnikom polowania o czymś niezwykłym. Oczom zebranych ukazał się krzyż z Panem Jezusem.

Jeszcze w 1648 r. położony został kamień węgielny pod budowę nowej kartuzji. W okolicznościowych uroczystościach, oprócz licznie zebranej miejscowej ludności, uczestniczyło wielu magnatów, a także przybyły z Warszawy nuncjusz papieski. W ciągu kilku lat stanął w Berezie wspaniały kościół, zrealizowany według projek-

tu włoskiego architekta osiadłego w Warszawie. Powierzono go opiece dwóch świętych patronów: Józefa i Kazimierza. Należy tutaj podkreślić, że zabezpieczenie finansowe klasztoru ze strony Kazimierza Sapiehy było wyjątkowo duże. Oprócz tego, że nadał dobra bereskie i busiańskie, to jeszcze dołączył znaczne połacie okolicznej puszczy. W zamian mnisi mieli obowiązek odprawiania egzekwii za duszę jego żony, ojca i matki, a także przedwcześnie zmarłych dwóch braci. Zażyty sobie również, aby jego ciało po śmierci zostało pochowane w kościele klasztornym. Tak też się stało, mimo tego, że za życia fundatora świątynia nie została ukończona. Kazimierz Sapieha zmarł 19 stycznia 1656 r. w Brześciu, zaś poświęcenie nowego kościoła miało miejsce w dniu 6 czerwca 1666 r. Podczas tych uroczystości dokonano również ponownego pochówku Kazimierza Sapiehy oraz jego krewnego, podkanclerzego



Klasztor kartuzów w Berezie "zrysowany z natury" przez Napoleona Orde. XIX wiek.

Pawła Sapiehy. Wdzięczni kartuzi udekorowali trumnę hojnego "dobrodzieja" trzema srebrnymi tablicami, umieszczając na nich odpowiednie napisy.

Pełne zakończenie budowy całego kompleksu klasztoru nowej kartuzji nastąpiło dopiero w 1689 r. Jedną z najważniejszych przyczyn tak bardzo przeciągającej się budowy, były liczne wojny, jakie w tym czasie prowadziła Rzeczypospolita. A oto jak opisał to jeden z niemieckich wizytatorów kartezjańskich: *"Kilka razy ... (ten klasztor) .. był grabiony przez wojska moskiewskie, tatarskie i podobnych barbarzyńców, opuszczany przez jego mieszkańców, którzy uciekali w inne rejony, które należały do zakonu ..."*. Wszystkie te okoliczności i zewnętrzne uwarunkowania były brane pod uwagę również podczas prac projektowych i przy budowie nowego klasztoru. Obiekty, niejako z konieczności, musiały nosić obronny charakter. Kompleks klasztorny miał wygląd odrębnego miasteczka, otoczonego fosą i murem z cegły o wysokości 5,25 i szerokości 7,5 łokcia. W pięciu miejscach muru znajdowały się

ośmiościenne wieże obronne (wys. 13,5 łokcia) z otworami strzelniczymi. Główne wejście do klasztoru składało się z masywnej barokowej bramy, obok której również mieściły się otwory strzelnicze. Wszystkie obiekty tego kompleksu architektonicznego można było podzielić na dwie zasadnicze części: centralną - gdzie mieszkali w swoich celach mnisi - oraz otaczające zabudowania - w których przebywały m.in. władze zakonne, kandydaci do zakonu oraz odwiedzający klasztor goście. Nad całością dominował olbrzymi, trójnawowy kościół, pokryty miedzianą blachą. Przy wejściu znajdował się barbakan z kopułą, co stanowiło charakterystyczną cechę świątyń wznoszących się na ziemiach białoruskich. Jak podają miejscowe podania ludowe, nad drzwiami wejściowymi kościoła znajdowała się niegdyś marmurowa tablica z wygrawerowanym napisem w języku łacińskim. Z treści wynikało, że fundator klasztoru (K. Sapicha) rzuca klątwę na głowy tych wszystkich, którzy ośmielią się zniszczyć tę świątynię.

Jeśli chodzi o wewnętrzny układ kościoła, to tutaj również występował wyraźny podział na dwie części: dla wiernych z zewnątrz - główna nazwa, dla zakonników - dwie wydzielone (zamknięte) boczne nawy. W najbardziej prestiżowym miejscu, przy głównym ołtarzu, kartuzi umieścili portret swojego fundatora - Kazimierza Lwa Sapichy - oraz znaczących reprezentantów jego rodu. W podziemnej krypcie kościoła umieszczone były trumny z ciałami zmarłych Sapichów (14) oraz wielu innych znamienitych osobistości (42). O jednej z osób pochowanych w tej świątyni zachowała się interesująca legenda: *Księcia Aleksandra Sapiehę, wielkiego kanclerza litewskiego, dotknęło niegdyś wielkie nieszczęście. Zmarła jego młoda i wyjątkowo piękna żona Magdalena. Wystawiono ją na katafalku, w odkrytej trumnie, w berezowskim kościele kartuzów. Jeden z braciszków klasztornych, kiedy spojrzał na nią, nie mógł oprzeć się wrażeniu jakie na nim zrobiła. Powziął wtedy postanowienie, że modliłby i postami będzie torował drogę do nieba dla jej duszy. Ustawicznie modląc się i umartwiając, ostatecznie biedaczyna zwiariował.*

Zmarłych mnichów chowano na przylegającym do kościoła cmentarzu. Zgodnie z obowiązującą regułą zakonną, zwłoki były oddawane ziemi bez trumien. Z tyłu kościoła znajdowała się wieża - dzwonnica, zwieńczona kształtną kopułą. Również ona nosiła charakter budowli obronnej: masywne ściany, wąskie okna strzelnicze, stanowiska armatnie na stropach międzykondygnacyjnych. Do góry prowadziły spiralne schody, umieszczone w grubych murach. W bezpośrednim sąsiedztwie świątyni znajdowały się budynki mieszczące cele zakonników. Połączone one były z dwoma bocznymi ścianami kościoła, tworząc wewnętrzny prostokątny podwórzec. Prawie cała powierzchnia podwórza przeznaczona była na sad i ogród, którymi zajmował się sadownik. Mieszkał on niedaleko, w niewielkim domku. Cele mieszkalne, których było piętnaście, były murowane. Każda z nich składała się z trzech niewielkich pomieszczeń o następujących funkcjach: sypialnia, kaplica, pokój do pracy. Do mieszkania przylegał korytarzyk i ogródek kwiatowy ze studzienką, ogrodzony wysokim murem.

Pozostałe budowle klasztorного kompleksu miały bardzo różnorodne przeznaczenie. Z lewej strony bramy wjazdowej wznosił się dwupiętrowy murowany pałac Sapichów, z kaplicą znajdującą się w pobliżu wejścia. Fundator miał zwyczaj

przyjeżdżać tutaj, aby w ciszy klasztornej odpocząć od spraw i obowiązków wagi państwowej. Dla zaspokojenia świeckich potrzeb przyjeżdżających tutaj gości, z boku pałacu znajdowała się tzw. kuchnia mięsna. W skrzydle przylegającym do prezbiterium, na piętrze, mieściła się przeoria. Znajdowało się w niej mieszkanie przeora (6 pokoi) i prokuratora (3 pokoje). Na parterze był kapitułarz, refektarz zimowy, mieszkanie koadiutora, refektarz (wielki) letni, kuchnia "postna" i jedna stancja mieszkalna. W suterrenach przechowywano warzywa oraz trunki, natomiast na strychu różnego rodzaju materiały o charakterze gospodarczym. W drugim skrzydle, na piętrze, mieściły się sale gościnne oraz skład ziół i naczyń aptecznych. Na parterze były izby mieszkalne lub służb rzemieślniczych, apteka i połączone z nią laboratoria. Kolejny ciąg obiektów skierowany był ku pałacowi, załamywał się za nim w kwadrat i dalej biegł w linii prostej aż ku bramie. Mieściło się tutaj osiem izb mieszkalnych braci zakonnych, izby oficjalistów i służby (na piętrze), a także: oranżeria, browar ze studnią i słodownią, pralnia odzieży zakonnej, warsztat bednarzski, magazyn do przechowywania wyrobów alkoholowych, stajnie i wozownie, spichlerz oraz warsztat produkujący dachówkę. W odległym zakątku sadu znajdował się dość duży staw, w którym hodowano ryby i żółwie. Pośrodku brukowanego dziedzińca zlokalizowana była studnia na pompę. Za murem klasztornym, jednak w bezpośrednim sąsiedztwie, mieściła się jeszcze lodownia, austeria z pokojami gościnnymi, wiatrak z mieszkaniem dla młynarza oraz drugi staw.

Za zewnętrzną wspaniałością, przepychem i bogactwem klasztoru, kryło się całkowicie inne życie: w pełni poświęcone służbie Bożej, wypełnione codziennymi ograniczeniami, modlitwami, regulowane surowymi prawidłami klasztornej reguły. A oto jak opisała wewnętrzne życie kartuzji M. Popowska: *"Jakkolwiek kościół świętokrzyski w Berezie otwiera się dwa razy w dni powszednie (godz. 6-10 i 16, w niedziele częściej), to mnisi odpowiadają swoje chórálne nabożeństwa trzykrotnie: z rana msza św. konwentualna, po wypełnieniu obowiązków modlitewnych oddają się pracy fizycznej, w celach bądź ogrodach, wieczorem nieszpory, a o północy modlitwy na jutrznię. W międzyczasie mnisi spożywają posiłki (w dni powszednie w poszczególnych celach, w dni świąteczne - wspólnie - w refektarzu). Ranny posiłek jest o godz. 11.00, wieczorny o godz. 18.00. Prócz zwykłych kalendarzowych świąt kartuzi berescy obchodzą uroczyste dzień znalezienia Św. Krzyża (3 maja), podwyższenia Św. Krzyża (14 września) oraz dzień Św. Brunona (6 października). W święta powyżej wymienione odbywają się uroczyste procesje nowych adeptów zakonu, a w kościele wystawia się Najświętszy Sakrament, co ma miejsce również podczas całej oktawy Bożego Ciała. W święta i dni odpustowe kartuzi zapraszają obcych kaznodziejów, wynagradzanych przez ich pieniądze. Lud chętnie uczęszcza do kościoła kartuskiego; poza liczną służbą klasztorną, napływają tłumnie procesje już to z miejscowego kościoła parafialnego, już to z cerkwi bereskiej, a także z bliskich i dalszych okolic".*

Zgodnie z zasadami reguły zakonnej, największe obciążenia w życiu klasztornym spadały na mnichów - pustelników. Mieszkali oni w odosobnieniu, w specjalnych domkach - celach. Pustelnik nie mógł nikogo zapraszać do swojej celi ani opuszczać jej w innych terminach niż podczas nabożeństw lub na wezwanie przeora.

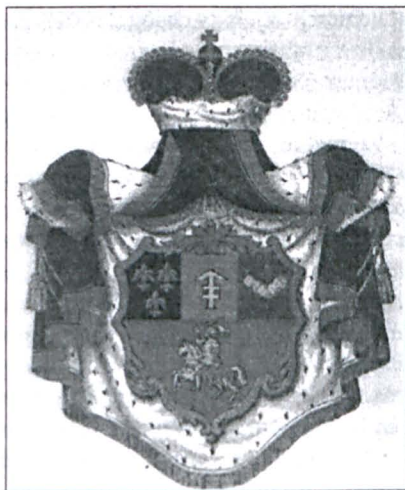
Do kościoła chodzili wewnętrznymi korytarzami, niedostępnymi dla osób postronnych. Ten surowy nakaz wypełniany był bezwzględnie, nawet przy tak powszednich czynnościach jak spożywanie posiłków. Jedzenie dla pustelników podawano przez specjalny kręty otwór w ścianie. Pustelnik nie tylko nie mógł porozmawiać z osobą, która przyniosła mu jedzenie, nie był także w stanie zobaczyć jej rąk. Oprócz modlitw i kontemplacji, pustelnicy ciężko pracowali: piłowali drzewo, wykonywali prace stolarskie, introligatorskie i ogrodnicze.

Jednym z ważniejszych elementów pokutnych ograniczeń w życiu klasztornym było ścisłe przestrzeganie postów. Według kartuskiej reguły, oprócz zwyczajnych terminów zachowywania postu, mnichów obowiązywał ciągły post od 14 września, aż do Wielkanocy. *"W dni abstynencji mają się ograniczać przy spożywaniu normalnie wyznaczonego im jadła, co do ilości i jakości (mięsa i tłuszczów nie używają z reguły). Na codzienne ich pożywienie, w dni powszednie podawane do celi przez otwór w murze, składają się przetwory mleczne, jaja, ryby, bobry, kurki wodne, a zwłaszcza zółwie; spośród napoi: dwa razy w tydzień wino, dwa razy miód oraz piwo. Umartwianie ciała, prócz postów i przerywania snu - w celu odmawiania modlitw w godzinach nocnych, polega na noszeniu włosiennicy i plagach otrzymywanych od przeora, w celi lub w miejscu publicznym. Interesujący jest również wygląd zewnętrzny bereskich mnichów. Odrębność ubioru kartuskiego polega na różnicowaniu jego odmian, w zależności od stopnia hierarchicznego: chórowym mnichom przysługuje strój z białej wełny, laicy noszą habity szare, względnie brązowe (krótsze - z uwagi na wygodę przy wykonywaniu pracy fizycznej. Różaniec, szkaplerz - obustronnie przymocowany paskami o szerokości dłoni, pas i kaptur - przy wyjściu z celi i w kościele podczas czytania psalmów nakładany - dopełniają całości stroju zakonnego. Co dwa tygodnie zakonnicy kartuscy golą głowę i zarost"*. (M. Popowska).

Życie bereskiej kartuzji nie ograniczało się wyłącznie do murów klasztornych. W 1754 r. kartuzi wybudowali w Berezie, w miejsce starego, nowy drewniany kościół parafialny, a w 1773 r. kaplicę pod wezwaniem św. Antoniego. Ta ostatnia została zlokalizowana w miejscowości Dziady, przy gościńcu łączącym Berezę ze Słoniemem. Kartuzi utrzymywali przeszło stu oficjalistów, wśród których znajdowali się m.in. nauczyciele, lekarze, rzemieślnicy, ekonomiści itp. Prowadzone były tzw. szkoły ludowe, co podnosiło poziom w najbliższej okolicy. Miłośnicy pogłębiania wiedzy mieli możliwość korzystania z zasobnej jak na ówczesne czasy biblioteki, liczącej około trzech tysięcy książek.

Nadzieje zakonników na ciche i spokojne życie w tym ustronnym miejscu nie spełniły się. Hojne uposażenie klasztoru przez fundatorów, pomyślny rozwój ekonomiczny kartuzji, wszystko to rzucało się w oczy, nie tylko najbliższych sąsiadów, ale i najeźdźców z krajów sąsiednich. Już w okresie budowy nowej kartuzji prowadzone były liczne wojny Rzeczypospolitej z kozakami i Tatarami. Problematyczne było nawet dalsze istnienie klasztoru. W drugiej połowie XVII wieku stolica apostolska rozpatrywała możliwość likwidacji klasztorów na kresach wschodnich Rzeczypospolitej. W pierwszej kolejności miała "paść" m.in. kartuzja bereska. Różne nieprzyjemności dotyczyły klasztor z powodu konfliktów wewnętrznych, jakie były charakterystyczne dla Rzeczypospolitej na przełomie XVII i XVIII wieku. Oddziały konfедера-

tów nie raz grabiły dobra klasztorne. W kronice klasztornej zapisane było m.in. przez mnichów, że w 1700 r. przeszło tędy w kierunku na Wilno czterotysięczne wojsko Wiśniowieckich. Wiele szkody ponieśli kartuzi podczas tzw. wojny północnej. Najeżdżały Berezę oddziały wojsk szwedzkich, litewskich i moskiewskich, często też grabiły klasztor okoliczne bandy.



Herb Sapiehów

W charakterze zwiedzających i odwiedzających pojawiało się tutaj wielu dostojników, w tym również królowie. A oto jak opisuje to autor żywota św. Geniusza: *"Kartuzya w Berezie miała własną historję powoźden, która stroną funduszów dotykała sławnego rodu książąt Sapiehów; stroną zaszczytnych pamiątek sięgała imion osób ukoronowanych: Augusta II, Piotra Wielkiego i Karola XII, którzy ten zakład zwiedzali..."* Rzeczywiście, w kwietniu 1706 r. przybył tutaj na czele dwóch batalionów gwardii pieszej i konnej król Karol XII. Szwedzi wzięli z klasztoru trzech zakonników, a następnie zażądali haracz wojennego. Aby uwolnić braci, nie pozostawało nic innego jak zapłacić. W miesiącu maju tegoż roku odwiedził klasztor król Stanisław Leszczyński, a we wrześniu kolejny polski król August II Sas. Po upływie dwóch lat Szwedzi ponownie podeszli pod klasztor, żądając tym razem jeszcze większej sumy okupu. Mnisi nie dysponowali taką kwotą, musieli więc oddać Szwedom część sreber kościelnych.

Wydawało się, że zakończenie wojny północnej położy kres niepokojom, czego tak bardzo oczekiwali zakonnicy. Pokój nie trwał jednak zbyt długo. Za panowania w Polsce obu Sasów, przez te tereny bardzo często przemieszczały się i kwaterowały różne oddziały cudzoziemskie, zwłaszcza w okresie sporów i walk o sukcesję na tronie polskim. Wszystko to spowodowało, że kartuzja bereska została pod względem ekonomicznym doprowadzona do kompletnej ruiny. Nie można tutaj powiedzieć, żeby i wojska polskie darzyły klasztor jakąś szczególną opieką. Zdemoralizowanie wśród ówczesnych żołnierzy było dość znaczne. Po śmierci Augusta II w 1733 r. Rzeczypospolitą znowu ogarnęła wojna domowa. W październiku duży oddział kozaków splądrował Berezę Kartuską, w tym również klasztor. W 1734 r. rozegrała się

tutaj bitwa pomiędzy wojskami litewskimi i rosyjskimi. Zwyciężyli Rosjanie, którzy następnie dokonali ponownej grabieży klasztoru.

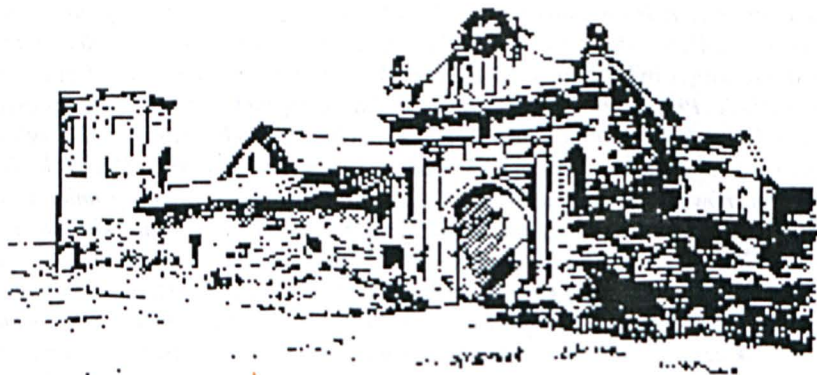
Zasadniczy jednak przełom w funkcjonowaniu bereskiej kartuzji nastąpił dopiero po 1795 r., tzn. po trzecim rozbiórce Polski. Wiązało się to z przejściem do Rosji terytoriów, na których znajdował się klasztor. Pod rosyjskim władztwem *"kartuzi pozbawieni zostali zarządu i kierownictwa swojego generała, mieszkającego za granicą, nuncyusz zaś apostolski, mieszkający w Warszawie, na donosy zarządzał tylko śledztwem, a biskupi diecezjalni, pomimo najlepsze chęci, nie mogli skutecznie zaradzić nieporządkom i nadużyciom w zakonie ... Surowa przeto reguła kartuska zaczęła się rozluźniać; nieuctwo i nalogi przyćmiewają cnoty; powstające procesy wytrąciły kartuzów z drogi właściwej, a pieniactwo pożerało sumy i obarczało zażożny niegdys klasztor długami"* (ks. J. Kurczewski). W 1798 r. Kolegium Duchowne w Petersburgu zmieniło granice diecezji, w wyniku czego kartuzja bereska przeszła do diecezji wileńskiej. Od tego czasu coraz szybciej chyliła się ku upadkowi. Chcąc poprawić sytuację klasztoru, kartuzi zwrócili się w 1811 r. do Kolegium z prośbą o przyłączenie ich do kamedułów pozajskich, jako podlegających jednej benedyktyńsko-cysterskiej regule. Niestety, efektem tego wystąpienia było jeszcze większe rozczarowanie.

W lipcu 1812 r., po rozpoczęciu kampanii napoleońskiej przeciwko Rosji, okolice Berezki Kartuskiej zostały zajęte przez Francuzów. Grasujące w tym rejonie oddziały francuskich maruderów nie omijały również klasztoru. O ile gmachy pozostały nietknięte, to jednak doliczono się później strat na ogólną sumę 137 tysięcy rubli. Upadek klasztoru w dalszym ciągu pogłębiał się. Świadczą o tym m.in. niezwykle interesujące *"notatki z podróży"* Juliana Ursyna Niemcewicza: *"O godzinie czwartej z południa stanąłem przed sławnym klasztorem księży kartuzów. Prócz szumu ogromnych drzew, powiewających nad szczytem wspaniałej świątyni i rozległego pustelników klasztoru, ani tu ludzki, ni zwierzęcy głos nie uderzył uszu moich. Zamknięty był kościół od wnijsia. Wszedłem w pierwszy dziedziniec, taż sama cichość. Postrzegłszy otwarte drzwi, znalazłem się na korytarzu ... Przez otwarte drzwi w końcu korytarza wszedłem do kościoła. Głuchy odgłos stóp moich rozlegał się po świętym gmachu ... lecz nie odezwał się żaden głos ludzki ... Długo chodząc, wszedłem znów na korytarz; ten otaczał na około cały gmach czworograniasty. Taż sama cichość, toż samo milczenie. Jużem zaczął rozpaczać, gdy w dalekim ciemnym zakręcie, biały habit zakonnika mignął mi w oczach moich. Podwoilem krok mój i wkrótce doznałem młodego kleryka. Postać jego była blada i wyschła, lecz ujmująca uprzejmością i słodyczą. Na zapytanie moje czemu konwent tak przed laty osiadły i ludny, tak dzisiaj głuchym, tak dzisiaj opuszczonym. Jesteśmy bliscy zgonu naszego, odpowiedział młody zakonnik; po trzydziestu nas przedtem bywało, dziś tylko jeden przełożony, chory tak dalece, że obcego zakonnika do odprawiania mszy trzymać musimy. Jest nas pięciu kleryków, lecz tym od lat kilku wyświęcenie wstrzymując; wielki jest zamach na skasowanie nas, synod chce dobra nasze zabrać dla siebie, wojsko godzi na klasztor, Sapiehowie słusznie jak o pierwszą swą własność odzywają się o nią dla siebie. Sami jedni reguły naszej w prowincji litewskiej, bez jenerała, bez opiekuna, wystaliśmy dwóch kapłanów, by u monarchy praw naszych bronili;*

Bóg wie czy co wskórają i kiedy powrócą. Prosiłem, żeby mnie zaprowadził do przełożonego, uczynił to. Znalazłem leżącego na łóżku, lecz skoro usłyszał że wchodzi, wraz przykrył się i odwrócił".

Życie religijne klasztoru uległo pewnej odnowie na początku lat 20-tych XIX wieku. W 1823 r. przekroczył progi kartuzji bereskiej braciszek Paweł Geniusz. Wzorowym postępowaniem zjednał sobie braci i w 1830 r. - w wieku 27 lat - został przeorem tego klasztoru. *"Poeta z natury, botanik ze studiów, lubujący się w rymach i kwiatach, świetną zapowiadał przyszłość kartuzji bereskiej, lecz dano mu jedynie jako gwiazdce wieczornej zajaśnieć na widnokręgu gasnącego zgromadzenia"* (ks. J. Kurczewski). Młody przeor uczynił wiele, aby "wyrwać" klasztor ze stanu upadku. Świadectwem tego może być chociażby bogactwo szat liturgicznych i sprzętu kościelnego zgromadzonego w zakrystii, o czym pisali w 1830 r. klasztorni wizytatorzy: *"ornatów różnego koloru i przeznaczenia 116, obrusów 103, alb 57, humerałów 62, korporałów 157, puryfikaterzy 100, koronkowych komży kosztownych 16, ubiorów kielichowych 44, alb 422 itd."*. Wylicza się też wiele innych cennych przedmiotów, również klejnotów ze srebra i złota.

W 1832 r. bereski klasztor został zlikwidowany. Przyczyną jego kasacji był udział mnichów w powstaniu listopadowym. Znane są nawet nazwiska niektórych kartuzów - powstańców: Tadeusz Godłowski, Kamiński, Wincenty Malinowski, Wawrzyniec Mołoszewicz, Mroczkowski, Klaudiusz Pachniewski, Lambert Płuszczewski. Niektórzy z nich byli w powstańczych oddziałach w charakterze duchownych, inni zaś wzięli nawet broń w swoje duchowne ręce. *"Z dnia 2 sierpnia*



Bereza Kartuska. Ruiny klasztoru.

1831 r. mamy pismo ministra Błudowa do Chrapowieckiego, zawierające doniesienie Rosena, dowódcy 5-go korpusu piechoty, o udziale w powstaniu grodzieńskiego powiatu kartuzów z Berezy. Stąd wiemy, że znani są nam z powyższej listy Mroczkowski, Kamiński i Płuszczewski Lambert, mieli utworzyć oddział powstańczy, uzbroić

go, zaopatrzyć w żywność i dążyć do złączenia się z "buntowszczikami" Puszczy Białowieskiej" (M. Popowska).

Carski ukaz z dnia 28 sierpnia 1831 r. był dla zakonu ostatecznym wyrokiem. Skasować i skonfiskować! Zakonnicy nie biorący udziału w powstaniu zostali rozesłani do różnych klasztorów o regule benedyktyńsko - cysterskiej, z poleceniem surowego nad nimi nadzoru ze strony przeorów. Kartuski majątek został skonfiskowany i przekazany dla Korpusu Kadetów z Połocka. Kościół klasztorny został przekształcony w parafialny. Pozbawione opieki budynki klasztorne ulegały systematycznemu niszczeniu. Nieudane powstanie 1863-64 r. przyspieszyło postępujący proces degradacji tego unikalnego kompleksu architektonicznego. W 1863 r., aby nie dopuścić w przyszłości do podobnych "buntowniczych" wystąpień, w Berezie Kartuskiej rozkwaterowano 151 Piatigorski pułk piechoty. Do budowy koszar dla tego pułku, nazwanych później czerwonymi, wykorzystywano cegłę z kolejno rozbieranych budynków klasztornych, w tym również kościoła. Nie ustrzegła przed tym barbarzyństwem wisząca nad wejściem tablica, rzucająca klątwę na grabieżców i niszczycieli. Zwłoki zaś hojnego niegdyś fundatora - Kazimierza Sapiehy - zostały przez nowych "gospodarzy" zbezczeszczone i ograbione.

W wybudowanych "czerwonych koszarach" kwaterowały najpierw wojska rosyjskie, później, w latach 30-tych (okres międzywojenny) władze polskie zorganizowały tutaj obóz (o zastrzonym reżimie) dla przeciwników politycznych. W 1941 r. został tu zlokalizowany obóz hitlerowski.

Jeśli chodzi o powojenne losy "ruin" klasztornych, to do 1989 r. znajdowała się w nich jedynie świniańnia wojskowa oraz przechowalnia owoców (w podziemiach zniszczonego kościoła). W ostatnich latach wojskowe oddziały zostały wyprowadzone poza mury klasztorne. Ubogie pozostałości, rozwalająca się dzwonnica i dawny pałac Sapiehów, a także niszczące mury, nikogo dzisiaj nie interesują. Z każdym rokiem wszystko ulega coraz większemu zniszczeniu. A przecież kiedyś informacja o tym wspaniałym kompleksie architektonicznym była umieszczona we francuskiej Encyklopedii Sztuki. Dzisiaj... niestety... pozostaje tylko uczucie żalu po tym, co zostało tak bardzo brutalnie i bezpowrotnie zniszczone.

tłum. z języka rosyjskiego
Grzegorz Michałowski

Wiesław Gromadzki

(Biała Podlaska)

Podlaskie ślady literatury

W kobiecym kręgu

W podlaskiej historii literatury znaczące miejsce zajmują kobiety. Są wśród nich tak znane, jak: Maria Konopnicka, Zofia Kossak-Szczucka, Helena Mniszkówna, Maria Kownacka oraz niemal zapomniane: Wacława z Grodzickich Czechowska i Anna Nagórska. Celem tego artykułu jest przypomnienie ich biograficznych i twórczych związków z naszym regionem, a także zaprezentowanie współcześnie tworzących kobiet, które posiadają uznany już dorobek wydawniczy.

Prezentację tę wypada zacząć od postaci najbardziej znanej, a więc Marii Konopnickiej. Z Podlasiem związana była rodzinnie. Z Barchowa koło Łochowa pochodził jej ojciec, która to wieś stanowiła ich rodzową posiadłość. W twórczości poetki odzwierciedlenie znalazły pogłosy niepodległościowych bitew stoczonych w tym rejonie. W wydany w 1905 roku w Krakowie pod pseudonimem Jan Sawa "Śpiewniku historycznym" znalazły się m.in. takie utwory, jak: "Pod Stoczkiem", "Pod Iganiami", "Bój pod Węgrowem". Opisując to ostatnie wydarzenie Konopnicka nawiązała do poematu o Auguście Barbier. Wiersz zakończyła taką oto strofą:

Obcy piewca cześć oddając
Takiej męstwa sile
Nazwał bitwę pod Węgrowem
- Polskie Termopile.

Maria Konopnicka czynnie zaangażowała się w obronę prześladowanych przez carat unitów. W 1888 roku przybyła w tym celu na Podlasie. Do Teofila Lenartowicza, przebywającego wówczas we Florencji pisała o swoich wrażeniach następująco: "Bywam w Białej, w Sokołowie, w Iganiach, w Siedlcach. Dotknęłam się z bliska tej wielkiej rany krwawiącej i takiego ucisku. A o to teraz Boga proszę, aby mnie nie odwołał, póki ja nie dotknę oblicz tych ludzi i nie odejmę od nich chusty, na której by oblicze ono zostało". Chociaż wątki unickie pojawiały się w wielu utworach poetki, to jednak szczególnie zaznaczyły się w niedokończonym poemacie "Unici" i w utworze "Pan Balcer w Brazylii". W części wstępnej "Unitów" znajdujemy wiele podlaskich odniesień. Oto fragment dotyczący Białej Podlaskiej:

"... Biało, książęcy niegdyś, a dziś grodzie kaźni.
Zmartaśniały od boleści, niemy od bojaźni,
Widzę jak nad twe mury wieje krwawa szata

Męczennika, patrona twego Jozafata.
Widzę mur bazylikański i ustrój klasztorną
Przeinaczoną teraz na cerkiew soborną.
Widzę ten gmach więzienny, na którego wieży
Pozostał Orzeł biały, co z dala się śnieży ...
A tak Orzeł biały z unią razem za kratami
Siedzi, wolności płacze i bije skrzydłami."

A w innym miejscu poeta zwraca się:

... Pratulinie! Drelowie! Włodawo! Łomazy!

Stoicie wy mi w oczach jak męczeństw obrazy.

Częścią planowanego poematu miał być wiersz pt. "Wiosenne widoki Bugu". Pięknie w nim opisuje tę podlaską rzekę. Zaczyna się on następującymi wersami:

Szeroko Bug roztoczył swe wiosenne wody

Pod porannym błękitem majowej pogody.

Jest gdzie oku pobujać, pohulać gdzie łodzi

W tej niezmiernej, po łęgach rozlanej powodzi;

Jest i myśli gdzie w skrzydła jak czajce uderzyć,

Jest się pieśnią gdzie rozbrzmieć i głosem zamierzyć

O Bugu pisze Konopnicka w znanym wierszu dla dzieci pt. "Na jagody".

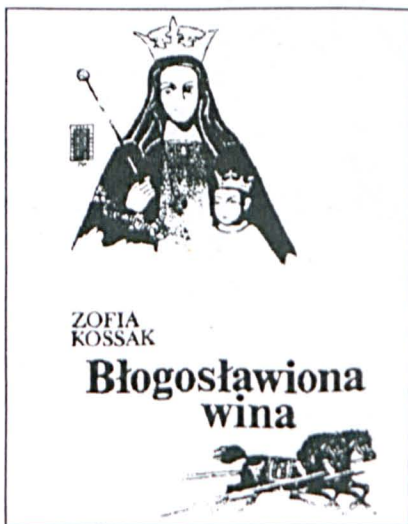


Tuż nad Bugiem, z lewej strony,
Stoi wielki bór zielony.
Noc go kryje skrzydłem kruczem,
Świt otwiera srebrnym kluczem,
A zachodu luna złota
Zatrząskuje jasne wrota.

Analizując poemat "Pan Balcer w Brazylii", warto przytoczyć fragment ze "Słownika biograficznego związanych z woj. siedleckim twórców i krzewicieli kultury" Leopolda Grzegorka. Stwierdził on następująco: "Na uwagę zasługuje (...) fakt wykreowania przez poetkę spośród zbiorowiska chłopskich bohaterów poematu "Pan Balcer w Brazylii" narratora Podlasiarza. Wiele fragmentów owego poematu świadczy niezbicie o tym, że Konopnicka znać musiała nieźle okolice Węgrowa i Łukowa, gdyż nie tylko wielokrotnie wymienia je z nazwy, ale także podaje znane jej na pewno z autopsji szczegóły, jak np. dokładny opis malowideł M. E. Palloniego (w pendentywach), znajdujących się po dzień dzisiejszy w węgrowskim kościele".

O Podlaskich akcentach można mówić także w twórczości Elizy Orzeszkowej. Dostrzegane są one w niektórych elementach folkloru. Do takich przynajmniej wniosków dochodzi Stanisław Świrko w artykule pt. "Folklor podlaski w "Nad Niemnem" Elizy Orzeszkowej", zamieszczonym ponad trzydzieści lat temu w czasopiśmie *Literatura Ludowa*. Autor artykułu zauważa: "Pierwszą wstawkę folklorystyczną spotykamy już we wstępie powieści, gdy Marta Korczyńska opowiada Justynie Orzelskiej, jak to okoliczni chłopi wzięli ją za widmo cholery wędrującej przez pola: Cholera i koniec. Wielka taka, że głową nieba dostaje, w zielonej sukni i złotą łopatą macha. Jest to oczywiście pogłos powszechnej w owych czasach na Podlasiu wiary ludowej w tzw. morową dziewczę zwiastującą nadejście zarazy". W innym miejscu napisał: "Największą i najciekawszą wstawką folklorystyczną w "Nad Niemnem" jest niewątpliwie wesele Elżusi Bohatyrowicz z Jaśmontem, na które zjechała drobna szlachta z okolicznych zaścianków. Pomimo, że włościan w ścisłym tego słowa znaczeniu w chacie Fabiana nie było, to jednak wesele to, zarówno od strony tradycyjnego ceremoniału jak i doboru pieśni i oracji, wykazuje typowe cechy zwyczajów weselnych na Podlasiu".

Wśród znanych literatek okresu międzywojennego i powojennego, których twórczość łączyła się z Podlasiem, należy wymienić Zofię Kossak-Szczucką. Jedną z jej najważniejszych książek jest powieść historyczna "Błogosławiona wina".



Przedstawia w niej historię wykradzenia w Rzymie obrazu Matki Boskiej di Guadelupe (obecnie Matki Boskiej Kodeńskiej) przez Mikołaja Sapiehę. Opisana jest tam m.in. uroczystość odsłonięcia obrazu w kościele kodeńskim w 1631 r.: "W Kodniu dzwony wciąż dzwoniły, bijąc potężnym dźwiękiem spokojne, srebrne powietrze. U wejścia do miasta wznosiła się brama triumfalna ozdobiona napisem: "Ave Maria" - uwitym z zieleni i kwieciami. Pod napisem widniały sapieżyńskie herby. W bramie stali rajcowie miejscy z burmistrzami i resztą zamkowego dworu. (...) W tejże chwili rozległ się huk dział. Z armat i moździerzy walono na wiwat, aż zamek się trząsł, a gęsty biały dym owinał mury jak w czas oblężenia. Chorągwie i cechy

odeszły na boki, puszczając w przód serce pochodu. Droga wysłana była kobiercami. Po obu stronach drogi, od bramy począwszy, stały szpalery z wieńców świeżego kwiecia utworzone. Z obszernych ogrodów zamkowych, tarasami do Bugu schodzących, z wirydarzy zamkowych, gdzie hodowano tureckie i holenderskie róże, wojewodzina kazała zerwać wszystkie kwiaty, by drogę Najświętszej Panience ustroić. Szpalery te pachniały niby kadzielnice". W innym utworze, trzyczęściowym "Dziedzictwie", pisarka przedstawiła moment wybuchu powstania na Podlasiu, m.in. w Białej Podlaskiej.

Maria Kownacka była jedną z najpoczytniejszych autorek tworzących dla dzieci. Nadal popularnością cieszą się jej książki, takie jak "Plastusiowy pamiętnik", "Kukuryku na ręczniku", "Cztery mile za piec". Łączny nakład jej książek obliczony jest na blisko siedem milionów egzemplarzy. Pisarka urodziła się we wsi Słup koło Kutna, ale życia los zetknął ją również z Podlasiem. Trudna sytuacja rodzinna zmusiła Kownacką do szybkiego podjęcia pracy w charakterze wiejskiej nauczycielki. W początkowych latach I wojny światowej mieszkała w Krzywdzie koło Łukowa. Prowadziła tam tajną szkołkę dla dzieci i nielegalne kursy dla dorosłych. Następnie trzy lata spędziła w Mińsku (białoruskim) pracując jako księgowa. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wróciła do Krzywdy. Tak opisał to wydarzenie Leopold Grzegorek w cytowanym już "Słowniku biograficznym ...": "Nie wiadomo, co ją do tej wsi ciągnęło? Być może sienkiewiczowska aura, jako że w gminie Krzywda położona jest Wola Okrzejska, gdzie urodził się i gdzie dzieciństwo spędził autor "Krzyżaków". Najprawdopodobniej długo by Kownacka w Krzywdzie pracowała, gdyby nie przysługa, którą jej potajemnie wyświadczyła szkolna koleżanka. Wysłała ona mianowicie, bez wiedzy Kownackiej, jej wierszyki dla dzieci do redakcji "Płomyka". I tak w dniu 15 IV 1919 roku nastąpił debiut literacki najpopularniejszej w naszym wieku autorki wierszy dla dzieci."

Kownacka, nawet po sześćdziesięciu latach, z sentymentem wspominała podlaską Krzywdę. W jej autorelacji biograficznej, zamieszczonej w czasopiśmie *Za i Przeciw* z 1979 roku, znalazł się taki oto zapis dotyczący jej działalności na Podlasiu: "W jednej izbie bez podłogi, na klepisku prowadziłam szkołę, przedszkole oraz wieczorne kursy dla dorosłych analfabetów. Pomoce naukowe sporządzałam sama według własnego pomysłu. Szkoła powstała z niczego. Stelmach i kowal pracując po nocach zbudowali ławki. Ja byłam nauczycielem, dyrektorem, administratorem, zaopatrzeniowcem. Spełniałam też wiele funkcji, leczyłam, ratowałam od oparzeń, a często i od śmierci, zakładałam ogródki, organizowałam kursy. (...) Kiedy wieczorem wracałam do domu, siostra kładła mi na gardło ciepłe kompresy. W niektórych wolnych od zajęć chwilach pisałam "do szuflady" drobne opowiadania dla dzieci (...) Kiedy przyszedł rok 1919, z powodu choroby musiałam definitywnie przerwać moją działalność nauczycielską. Z żalem pożegnałam szkołę i przeniosłam się do Warszawy."

"Trędownata" Heleny Mniszkówny to swego czasu jedna z najpopularniejszych powieści z kręgu tzw. literatury drugorzędnej. Gdy ojciec autorki pokazał ją Prusowi, ten ocenił ją następująco: "Arcydzieło to nie jest, ale niech pan spróbuje ją wydać, może się nawet opłaci". Do tej pory książka doczekała się 20 wydań i trzech ekrani-

zacji. Magdalena Samozwaniec sparodiowała "Trędowatą" w powieści "Na ustach grzechu". Kazimierz Wyka w jednej ze swoich prac napisał: "To wielki kłopot z oceną pisarki tak drugorzędnej, a cieszącej się tak wielkim powodzeniem". Helenie Mniszek-Radomyskiej w książce "Małwy na lewadach" Barbara Wachowicz poświęciła jeden z rozdziałów.

Helena Mniszek urodziła się 24 maja 1878 roku w Kurczycach na Wołyniu, w majątku hrabiów Męcińskich. Podobnie jak wiele panienek "z dobrego domu" u schyłku ubiegłego wieku otrzymała staranne wychowanie. O jej młodych latach Maria Przeworska napisała w *Nowej Gazecie Łukowskiej* (Nr 5/97): "grała na fortepianie, malowała "akwarele", czytała romanse. W domu rodziców była bogata biblioteka. Gdy jej rówieśnicy bawili się, ona wciąż czytała, zapisywała stopy zeszytów, z których mogła później korzystać pisząc powieści. Z Wołynia rodzina Mniszków przeniosła się na Podlasie, do rodzinnych Sabni. Była to wieś i folwark położone 14 km od Sokołowa. W 1898 r. dwudziestoletnia panna na Sabniach wyszła za mąż za obywatela spod Terespoła - Władysława Chyżyńskiego. Wyjechała z nim na Litwę. Tam mąż jej został zarządcą majątku rodziny Wańkowiczów. W ich domu prowadzono bogate życie towarzyskie. Sąsiedzi bywali na herbatkach; dyskutowano podczas spotkań o sztuce. Piękna gospodyni prowadziła ożywione konwersacje w kilku językach, grała na fortepianie, najchętniej sonaty Beethovena. W 1903 roku po śmierci męża, Helena wróciła do Sabni, przywożąc ze sobą dwie córki. Tu powstała "Trędowata", o której w "świecie literackim" mówiono pogardliwie: "powieść dla kucharek". Przyniosła ona jednak autorce największy sukces wydawniczy."

W siedem lat później Mniszkówna po raz drugi wyszła za mąż, za Antoniego Radomyskiego. Przeniosła się do jego majątku Rogale koło Łukowa. Tam pisała swoje kolejne powieści: "Panicz", "Ordynat Michorowski", "Verte", "Gehenna". Prowadziła też życie ziemianki, aktywnie udzielającej się społecznie. Zakładała ochronki i szkoły dla dziewcząt, była przez pewien czas przewodniczącą Koła Ziemianek. Łukowska działaczka społeczna i bibliotekarka Maria Kiernicka na łamach *Kameny* (Nr 1/1977) tak wspominała pisarkę: "Wysoka, dobrze zbudowana blondynka, cieszyła się sympatią otoczenia. Miała cztery córki, ale mimo to udzielała się społecznie. Koło ziemianek było bardzo prężne. Organizowało loterie, kwesty, przedstawienia, zabawy i wieczorki taneczne".

W swoich powieściach Helena Mniszkówna niejednokrotnie opisywała Podlasie. W "Sfinksie", którego akcja toczy się m.in. w okolicach Łukowa, znajdujemy taki oto idylliczny obrazek: "I są na Podlasiu wioski ciche - jak sady umajone w kwitnące wiśnie, gdzie przy chacie błękitnieją lnu grędy, pachną lipy i stoją szeregi uli, miodu i rojów pełne, gdzie wśród wiejskich strzech bieleją ściany kościoła, a z wieży sygnaturka na Anioł Pański dzwoni". A dalej pisała: "I są na Podlasiu krzyże na rozstajach wśród wierzb rosochatych, smutne ciche krzyże ... Jadąc z Trzebieszowa do Rogalna więcej niż półtora kilometra - mijamy co najmniej pięć takich krzyży." Autorka "Trędowatej" pisała też opowiadania o treści religijnej. O prześladowaniu podlaskich unitów można przeczytać w utworach "Za wiarę" i "Z ziemi też i krwi".

Nieco zapomnianą poetką, która poprzez swoją twórczość i biografię związała się z Podlasiem, była Wacława Grodzicka - Czechowska. Urodziła się w 1885 roku

w Patkowie koło Łysowa, w ówczesnym powiecie konstantynowskim. W trzynastym roku życia podjęła naukę w sześcioklasowej szkole Leokadii Rudzkiej w Warszawie, kończąc ją z wyróżnieniem. Po powrocie na wieś samodzielnie studiowała literaturę polską. W 1912 roku, wraz z mężem Janem Michałem Czechowskim wyjechała na Ukrainę. Po sześciu latach wróciła do kraju i osiedliła się w Warszawie, mieszkając tam do powstania w 1944 roku. W okresie międzywojennym Waława Grodzicka - Czechowska aktywnie uczestniczyła w życiu literackim. Została też przyjęta do Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich. Jedno ze spotkań tego stowarzyszenia było w całości poświęcone jej twórczości. Zmarła w 1950 roku. Pochowano ją w Krakowie, ale w następnym roku trumnę przewieziono na Podlasie, na cmentarz w Niemojkach. W miejscowości tej, w Izbie Pamięci zgromadzono liczne pamiątki oraz utwory poetki.

Czechowska zadebiutowała w 1904 r., ale pierwszy tom jej wierszy pt. "Poczje" ukazał się dopiero w 1913 roku. Następne to: "W stepach" (1919), "Ku ojczyźnie" (1919), "Wśród swoich" (1923), "Pieśni" (1927), "Droga" (1938). Opublikowano też jej zbiór wierszy i powiastek dla dzieci pt. "Przygody Basi i Krzysia". Podlaskie wiersze Waławy Grodzickiej-Czechowskiej znajdujemy przede wszystkim w tomie "Wśród swoich". Opublikowano tam, poświęcony matce, sześcioczęściowy cykl sonetów, opisujący m.in. wieś podlaską i tutejsze krajobrazy. Nosi on tytuł "Na Podlasiu". A oto wiersz pt. "Zagajnik":

Śród przymglonej podlaskiej równiny
Jest zagajnik: Sosenki i brzozy.
Mech, rozchodnik i - droga, gdzie wozy
W sykim piachu rznąły koleiny.

A na skraju, gdzie cień od brzoź siny,
Kędy wicher się miota w dni grozy.
W dni jesieni i w zimowe mrozy -
Wrzosa w słońcu ! dziewanny ! byliny !

W słońcu mały pagórek graniczny
na nim kwiaty i pszczoły ... wiatr plecie
Trawek drobnych włos giętki i śliczny.

Ach, dla serca, znak niby kotwiczny,
Ten jest obraz jedyny na świecie:
Niebo, słońce, las, wzgórek i kwiecie.

Podobnie jak wielu twórcom z tamtych czasów nieobojętny był Czechowskiej los podlaskich unitów. Najbardziej znane jej wiersze o tej tematyce to "U niepoświęconej mogiły" i "Matka unitka". W zakończeniu tego drugiego utworu czytamy:

W lasy uciekłam. Z dzieckiem jeno w chustę
Spowitem w licej odzieży.
Między jałowce, w uroczysko puste.
Na mokre w rosach posiwiałe wrzosa

Niosę me szczęście całe, swoje losy.
Zwierzając mgłę tej co dźwiga w niebiosy
Niedolę ziemskich pobrażę.

Prawie zupełnie zapomnianą poetką, która dużą część swego życia związała z Podlasiem, była Anna Nagórska. Być może wynika to z faktu, że jej wiersze nie były wydawane w formie książkowej, a ukazywały się w czasopismach lub pozostawały w rękopisach. Anna Nagórska w okresie międzywojennym uczyła się w Seminarium Nauczycielskim w Leśnej Podlaskiej. Wspomnienie o niej, zamieszczone w jedno-dniówce literackiej "Pegaz", napisał Stanisław Antoniuk. Oto jego fragment:

Jednodniówka wydana przez
Oddz. Pow. ZNP. Klub Literacki
im. J.I. Kraszewskiego



"Znano ją w okolicy i Warszawie jako poetkę Podlasia, bo pisywała do czasopisma *Podlasiak*, które zamieściło m.in. jej wiersz o J. I. Kraszewskim. Miewała kontakty ze światem literackim Warszawy, skoro w "Wypisach do nauki języka polskiego" wydrukowano wiersz pt. "Podlasie", którego uczyliśmy się na pamięć. Pod jej wpływem tworzył poezje poeta ludowy Kajetan Sawczuk, który wydał potem zbiorek wierszy pt. "Pieśni", pisywaliśmy i my, a plon ten rejestrowało pismo *Łącznik*, którego numery można jeszcze znaleźć w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Pisała też i obrazki sceniczne na użytek wewnętrzny szkoły, która je wystawiała na scenie w wykonaniu uczniów. Niestety, nie dochowały się do naszych czasów, a tomiku swego nie wydała z powodu braku czasu i nawału prac zawodowych i społecznych".

Oto wiersz pt. "W podzięcie za kwiaty podlaskiego natchnienia", który Anna Nagórska dedykowała Stanisławowi Antoniukowi pod koniec swojego życia:

Mój czas śpiewa ptakami i kwitnie jaśminem,
Migoce na jeziorze księżycową łuską,
wykłoszony łan żyta dłonią wiatru muskam
goreję polnym makiem, obłokami płynę.
Czas mój wiosną oddycha i płacze jesienią,
podarki dobrych wspomnień pod choinkę kładzie,
pali świeczki nadziei w ośnieżonym sadzie.
Czas mój myśli odległe rozplątuje wiąże,
wskrzesza je w zawieszonych na ścianie rycinach,
wrywa świeży zachwyt z ulubionych książek
i śmierć moją w zanadru pieszczotliwie trzyma.

Inna tematyka, w stosunku do prezentowanych już pisarek, dominowała w twórczości Wandy Wasilewskiej, która pod koniec lat trzydziestych przyjeżdżała na wakacje do nadbużańskiego Mężenina (okolice Sarnak i Platerowa). W 1938 roku opublikowała powieść pt. "Ziemia w jarzmie", której akcja toczy się na tych terenach. Janusz Świąder opublikował na ten temat artykuł na łamach *Słowa Podlasia* pt. "Tam, gdzie powstała 'Ziemia w jarzmie'". Napisał w nim: "W powieści jawi się Mężenin jako Koliny. Dojechać tu można już niekoniecznie końmi, ale autobusem. Tylko jak dawniej toczy nieopodal nurtem Bugu potoczyste srebrne pole. I jak dawniej rzeka dzieli się na dwa ramiona i znów łączy po opłynięciu wysepki. Stoją szpalerami sędziwe wierzby. Ciągną się daleko wzdłuż brzegu łąki. Krajobraz jest więc taki sam, jakim go widziała niegdyś i uwieczniła Wanda Wasilewska". Dalej autor przytacza relację Kazimierza Kucharuka, rolnika występującego w powieści wraz z ojcem Telesfosem jako rodzina Zacharczuków. U nich to, w ich wiejskiej chacie pisarka mieszkała. Oto urywek relacji Kucharuka: "Pisała dużo (...) artykuły do gazet i powieści. Miała dwie maszyny, jedną podrózną, a drugą biurową. Zawsze w dzień pogody wynosiła ją z rana w brzezinki, których cień chronił ją przed żarem słońca". Z innych relacji wynika, że była ciemnowłosą, małowówną kobietą, zainteresowaną życiem chłopstwa. Pisywała m.in. na ten temat do związanej z Polską Partią Socjalistyczną gazety *Robotnik*.

Tyle z podlaskiej historii literatury. Spróbujmy teraz przyjrzeć się publikacjom kobiet z literackiego środowiska Podlasia. Związane są one przede wszystkim z białskim Klubem Literackim "Maksyma", ale nie tylko.

W Mordach mieszka Irena Ostaszczyk, autorka kilku tomików wierszy, głównie o tematyce wiejskiej. Uznawana jest za jedną z najciekawszych poetek z kręgu literatury ludowej. Należy również do Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Wśród jej utworów znajdujemy i takie, które bezpośrednio wiążą się z Podlasiem. Oto przykłady:

Zakolebała się noc sierpniowa
w nadbużańskiej kołysce
w majestacie ciszy
rodzi się dzień

Narodzenie dnia

Wiatr zbiera puste gniazda wróbli
rozkłada je po ścierniskach
na splątane nici babiego lata
chmary wron kołują na horyzoncie dnia
zwiastując bliską jesień

Jesień na Podlasiu

Krystyna Kornacka z Międzyrzecza Podlaskiego jest nauczycielką języka polskiego. Opublikowała dotychczas miniatury prozatorskie pt. "Okruchy codzienności" oraz, wraz z mężem Ryszardem Kornackim, legendy z Podlasia pt. "Czarna róża". Próbuje swych sił również w prozie poetyckiej. W przygotowywanej antologii wierszy o Podlasiu "W krajobrazach słów" znajduje się jej utwór pt. "Impre-

sja podlaska", którego początek jest następujący: "Urodziło mnie Podlasie-nostalgiczne, spokojne, gładkie jak polerowany stół. Kiedy stanęłam na nogach, zobaczyłam wszystko jak na dłoni: znajomą twarz uśmiechniętego dziadka Mikołaja (nie tego od prezentów, lecz prawdziwego), czarną postać babci i mego śmiesznego, rudego jamnika. Rozglądałam się, jakbym szukała jeszcze kogoś, kogo nie było, ale i tak było mi dobrze. Opuściłam dzieciństwo i moje płaskie Podlasie zaczęło nagle urastać w pagórki trosk i góry problemów. Wiedziałam, że przyjdzie mi się po nich wspinać i wspinać (...)." Pod koniec 1997 roku ukazała się wspólna publikacja Krystyny i Ryszarda Kornackich. Wiersze Krystyny noszą tytuł "Impresje", a Ryszarda "Romeo, Julia i Czas". Tematykę utworów zamieszczonych w tym zbiorze można określić dwoma pojęciami: przyroda i czas. Wśród impresji znalazły się dwie dotyczące naszego regionu. "Impresja podlaska II" opisuje życie toczące się małomiasteczkowym rytmem. Ma ona takie oto wierszowane zakończenie:

I zawsze jest ktoś, o kim trzeba mówić
I zawsze jest dobrze, jeśli tym kimś
nie jesteśmy my - sami

W almanachu "Prezentacje", pierwszej zbiorowej publikacji Klubu Literackiego "Maksyma", wydanym w 1984 roku, znalazło się szereg "poezjujących" kobiet z Podlasia: Barbara Caruk, Ewa Koziała, Zinaida Kara, Elżbieta Kuc, Janina Remlein, Halina Walczak, Anna Zielińska. Następne lata przyniosły już indywidualne wydawnictwa. W 1987 roku ukazał się tomik wierszy Elżbiety Kuc pt. "Niekontrolowany uścisk dłoni", który spotkał się z dobrym przyjęciem ze strony krytyków literackich. Autor wstępu - Stanisław Jan Królik napisał: "W chwili, gdy na wystawach licznych księgarni zalega wiele debiutanckich książek poetyckich - zalega, gdyż od narodzin nie były pomyślane z myślą o odbiorcy - mamy do czynienia z utworami Elżbiety Kuc (...). Jest to propozycja niewątpliwie interesująca zarówno podczas pierwszego czytania (...) jak i lektur kolejnych. Za każdym razem pozytywnie zaskakuje. Uderza szybkość wiersza, który staje się jakby jednym zdaniem, pulsuje, drga od nagromadzonych czasowników. Dzieje się. Poszczególne wiersze funkcjonują wspólnie z innymi w większych układach. Metaforą jest wiersz i - wreszcie - zestaw wierszy. Z zależności wynika fakt, że w tekstach spokojniejszych bardziej słyszę ciszę, a w momentach bezruchu inercja wyrażona jest dobitniej, niż mogło to być przy stałym rytmie". Oto próbka takiej poezji w tytułowym wierszu tomiku:

W rozszerzonych żrenicach
dłubie światłem
ból słowa
wrzeszczy obcość
kaganiec piłuje jej szczęki
chwiejne lustra
odbijają
odbijają
gumowe obrazki

Kolejna publikacja "Maksymy" to znowu poetycki debiut w żeńskim wydaniu - zbiór wierszy Ewy Koziary pt. "Wodnik i lilie". Waldemar Michalski, który wybrał prezentowane w tomiku utwory oraz przygotował wstęp, napisał: "Krótkie, kilkuwersowe impresje, pisane jakby na marginesie bardzo prywatnego kalendarzyka, z pominięciem znaków interpunkcyjnych, dużych liter i tytułów, są znaczące poetycko głównie ze względu na



umiejętność syntetycznego skrótu wypowiedzi i oryginalną rozbudowaną metaforę". Słowa te w zwięzły sposób charakteryzują poetykę wierszy Ewy Koziary. Pod względem rodzajowym można je określić jako liryczny pamiętnik młodej kobiety, w którym, jak to zwykle bywa w takich zapiskach, znajdujemy osamotnienie, smutek, ale też wiarę w miłość, odrobinę nadziei, a czasem ogólniejszą refleksję. Oto przykład ciekawego spostrzeżenia bez tytułu:

nie piszę już długich
listów
kiedyś jeszcze włosy
rozplotę
by z synem pójść
na bal

Czterech niewielkich zbiorów poetyckich doczekała się już Helena Romaszewska. Zadebiutowała w 1990 roku "Smakiem żurawiny", wydanym w serii "Podlaskie Arkusze Literackie" przez Klub Literacki "Maksyma" i Wojewódzki Dom Kultury w Białej Podlaskiej. Następne to: "Na dnie nieba", "Małpa też płacze" i "Światło nocy" (w ramach Biblioteczki "Jeszcze Jedna" - miesięcznika literacko-artystycznego). Pierwsze tomiki Romaszewskiej wypełnione były głównie wierszami o miłości i przyjaźni. Znajduje się w nich też wiele typowych, o szczególnej subtelności, erotyków. Późniejsze naznaczone są piętnem śmierci bliskiej osoby, dochodzi więc szeroko pojęta problematyka przemijania i sensu ludzkiej egzystencji. We wstępie do pierwszego ze zbiorów Ryszard Kornacki scharakteryzował twórczość Heleny Romaszewskiej następująco: "Pozytywną cechą tej poezji jest na pewno szczerość

i otwartość. Kult miłości i piękna przyrody podkreślają w prezentowanych wierszach akcenty typowo humanistyczne. I mimo, że zakres literackiej penetracji autorki zawęży się momentami do "ja" i "ty", to jednak utwory zamieszczone w tym debiutanckim zbioru zasługują na chwilę uwagi czytelnika".

W słowie wstępnym do "Mała też płacze" napisałem kilka lat temu: "Jest to już trzecia większa prezentacja twórczości poetyckiej Heleny Romaszewskiej w ciągu ostatnich lat. Świadczy to o dużej płodności literackiej autorki, a zarazem pozwala prześledzić ewolucję jej sposobów poezjowania. (...) Widać zmiany pod względem warsztatowym - od skłonności do gadulstwa do oszczędnego używania słów, ale nie tyle, by zabrakło ich do skonstruowania poetyckich obrazów, z których składają się wiersze pani Heleny". Uwagi te można sformułować również w stosunku do najnowszych wierszy Romaszewskiej. Ilustracją umiejętności poetki może być erotyk pt. "Na dnie nieba":

miłość
we wrzosach
kładziesz
na zboczu
pomyślałam że się stoczy
na dno
wtedy ty
chyba magią oczu
z bardzo błękitnej koszuli
rozpinasz
rozpinasz jej
tyle nieba
wyścielasz je sobą i mną

W kręgu "Maksymy" tworzy też Halina Walczak. Autorka trzech niedużych zbiorów wierszy, które - jak sama twierdzi - są jakby poetycką trylogią przedstawiającą jej drogę życia. Noszą one tytuł: "Halina" (wydawca Klub Kultury "Piast") oraz "Pod skrzydłami wiatru" i "Rozprute milczenie" (Biblioteka "Jeszcze Jednej"). Właściwie mogę powtórzyć własne słowa ze wstępu do pierwszego z wymienionych tomików. Napisałem w nim: "Każdy wiersz, chociaż wyraża myśli uniwersalne, jest obrazem konkretnych przeżyć Pani Haliny. Niewątpliwie najczęstszym motywem jest przemijanie, ale też są utwory mówiące o przyjaźni czy miłości. Píše m.in.: "zapytaj serca / kiedy nie wiesz / iść którędy". Istotna jest również symbolika religijna, wartość domowego ogniska. Poetyckie zwierzenia Pani Haliny bliskie będą szczególnie tym, którzy w wierszach szukają osobistych emocji i wzruszeń, a mniej wyrafinowanego intelektualizmu". Znajdujemy też wiersze związane z ziemią rodzinną, jak chociażby utwór "Moje Podlasie":

lasami
jak pierścieniem otoczone
spogląda Krzyny
błękitnym okiem

na matki ziemi łonie
goję życia rany
przypulają mnie
rodzinne strony

W ramach "Podlaskich Arkuszy Literackich" w 1990 r. wydana została jedyna dotychczas publikacja Zinaidy Kary. Są to krótkie opowiadania pt. "Życie niejedno ma imię", mające również cechy literackich reportaży. W notce autobiograficznej autorka napisała: "Moje długie życie dostarczyło mi tyle doświadczeń, przeżyć i obserwacji świata, że musiało to znaleźć jakieś ujście. Zrezygnowałam z pisanja poezji, ponieważ zrozumiałam, że muszę pisać prozą. Wyciągam ze skarbonki pamięci różne elementy wspomnień, spostrzeżeń czy wzruszeń, które w mniejszym lub większym stopniu odzwierciedlają się w moich opowiadaniach".

Jak do tej pory jednym tomikiem wierszy może pochwalić się Małgorzata Smęt z Międzyrzecza Podlaskiego. Jej zbiór pt. "Kłótnie z lustrem" wydano w Lublinie.

W ostatnim okresie szeroko rozwinęło działalność Międzyrzeckie Stowarzyszenie Teatralne, które jako jedno z zadań postawiło sobie rozwijanie zainteresowań literackich. W tym celu powołano też Międzyszkolny Klub Młodych Twórców "Pióro", który wydaje pismo pt. "Pióro Wyobraźni", wypełnione debiutanckimi próbami twórczości literackiej. Co ciekawe, większość to dziewczęta. One też dominowały w I Konkursie Literackim im. M. Konopnickiej, zorganizowanym dla uczniów szkół podstawowych i średnich woj. białkopodlaskiego. Jego laureatkami zostały m.in. Katarzyna Czuchaj, Aleksandra Szewczyk, Barbara Małaszk, Ewa Ilczuk, Monika Araźna. Ich utwory znajdują się w almanachu przygotowanym przez w/w stowarzyszenie ("W krainie słów").

Bodaj najobszerniejszą publikacją literacką wydaną ostatnio w naszym regionie jest "Pokłosie", antologia utworów nagrodzonych na Ogólnopolskich Konkursach Literackich im. J.I. Kraszewskiego (wydawca Muzeum J.I. Kraszewskiego w Romanowie). Znajdują się w niej również utwory literatek z Podlasia: wiersze i opowiadania Ewy Koziały, wiersze Elżbiety Kuc i Janiny Remlein.

Niedawno ujrzał światło dzienne almanach Klubu Literackiego "Maksyma" pt. "Drugi oddech", który uwzględnia utwory nie tylko klubowiczów. Oczywiście nie zabrakło w nim utworów naszych podlaskich pań. Zapowiedziana jest książka pt. "Igliwia smak", która zawierać będzie wiersze o tematyce podlaskiej.

Oprócz wyżej wymienionych twórczyń znajdzie się tam również miejsce dla Matyldy Wełna, Zofii Luchowskiej-Kuna, Krystyny Malczewskiej i Marii Krawczyk.

Na koniec słów kilka o utworach zamieszczonych w czasopismach. Trudno oczywiście uchwycić wszystkie periodyki, w których publikowały podlaskie literatki. Są to głównie czasopisma regionalne. W latach osiemdziesiątych ukazywał się dodatek literacki do *Sztandaru Ludu*, prezentujący również twórców z Podlasia. *Słowo Podlasia* zamieściło 13 numerów dodatku literackiego "Z podlaskiej niwy". Z okazji dziesięciolecia "Maksymy" zaprezentowano niektórych członków klubu w *Krzywym Kole Literatury*, wydawanym przez Staromiejski Dom Kultury w Warszawie (m.in. wiersze Katarzyny I. Łącznej, Barbary Łaskiewicz, Elżbiety Kuc, Iwony Sajdłowskiej). W *Kresach Literackich* publikowała Elżbieta Kuc. W prezentacji pt. "Pocci

Podlasia", zamieszczonej na łamach lubelskiego miesięcznika *Na przykład*, znajdujemy nazwiska Joanny Demczuk, Katarzyny I. Łącznej, Elżbiety Kuc. Również na łamach *Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego* publikowały swoje utwory niektóre z wymienionych już poetek oraz Anna Paszkiewicz. Podobnie było w miesięczniku literacko - artystycznym *Jeszcze Jedna*, wydawanym przez Klub Kultury "Eureka". Znajdujemy tam szereg debiutantek. Są to przede wszystkim: Małgorzata Wilbik, Jadwiga Połynka, Iwona Chwedaczuk, Sylwia Bułtowiec, Ewa Człapińska, Anna Ignaciuk, Monika Jędrzejewska. Należy też zauważyć, że teksty literackie drukowały różne czasopisma lokalne, głównie *Głos Międzyrzecki*, *Gazeta Łosicka*, *Goniec Terespoński*, *Życie Parczewa*. Zaspewne również i tam nie zabrakło utworów podlaskich przedstawicielek płci pięknej.

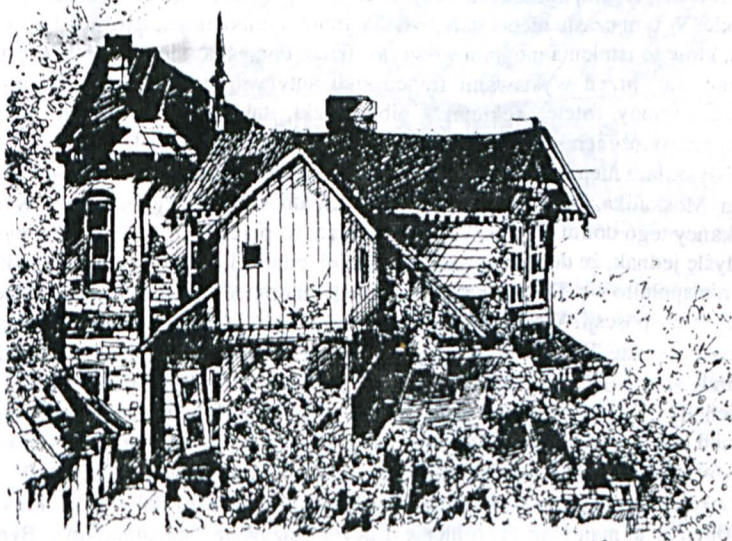
Janina Marta Teodorko - Lefèvre

(Les Sables d'Olonne - Francja)

Stary dom w samym sercu miasta

Ten krótki pobyt w Polsce miał bardzo pozytywny wpływ na moje samopoczucie. Jestem w zupełnie innym stanie ducha, od kiedy mieszkam w prawdziwym drewnianym domu, w samym sercu miasta. Od czasu kiedy pracowaliśmy w tym bezosobowym, bezdusznym hotelu, mam na myśli hotel "Sportowy MOSiR" w Białej Podlaskiej, zastanawiałam się nawet, czy warto tutaj wracać każdego roku. Oczywiście powracam regularnie do kraju, by złożyć wizytę swoim bliskim, ale niestety nie mogłam ich przyjmować w tym smutnym niegościnnym miejscu.

Od kiedy zagospodarowałam ten stary, drewniany dom, zmieniłam zupełnie punkt widzenia i zaakceptowałam go od razu, on mnie chyba też. Nigdy dotąd nie czułam się tak doskonale jak w ścianach tego chylącego się domostwa. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy (właściwie to nie był pierwszy raz, wiedziałam o jego istnieniu już od dawna, od kiedy tylko sięgam pamięcią, był w dzielnicy mojego dzieciństwa), poczułam to, co Francuzi nazywają "... un coup foudre", czyli miłość od



pierwszego wejrzenia. Jeśli zresztą można mówić o miłości od wytworu ludzkich rąk! Byłam przekonana, że od dawna czekał on na mnie i cokolwiek nie wydarzyłoby się, nasze losy od tej chwili są ze sobą związane.

Na przełomie listopada i grudnia pobyt w kraju zbliżał się ku końcowi. Tuż przed wyjazdem umówiłam się na spotkanie z Henryką C., moją dawną przyjaciółką. Tego wieczoru zrobiło się bardzo zimno i wiał przenikliwy północny wiatr. Wysłałam po Henię na ulicę, aby nie błędziła. Ulica była wprawdzie oświetlona, ale mimo wszystko uważałam, że będzie lepiej jeśli wyjdę jej naprzeciw. Spacerując w tam i z powrotem,¹ i daremnie wypatrując Heni, spoglądałam w kierunku ulicy Narutowicza, na inny stary (drewniany) dom, ten w którym mieszkałam przed laty. Stał dumnie na tym samym miejscu co dawniej, chociaż wszyscy jego mieszkańcy żyją od dawna już gdzie indziej, rozproszeni po całej Polsce, rozsypani po świecie lub po prostu "odeszli stąd na zawsze".

Wpatrywałam się długo w jego drewnianą fasadę, przenosząc się siłą wyobraźni w przeszłość, do lat dziecińczych, do tego czasu, który już przeminął. W ten zimny zimowy wieczór ujrzałam krzewy białego bzu i jaśminu, stare drzewa owocowe, długie zaniedbane podwórce, budy na węgiel. Na dziedzińcu powitał mnie przyjaznym merdaniem ogona stary pies myśliwski Jar, a także towarzysząca mu właścicielka domu Smoleńska. Ujrzałam również zgarbioną, nieczgrabną sylwetkę Niusi, jej gospodyni domowej. Przez uchylone drzwi ujrzałam staromodną komodę z marmurowym, perłowo-szarym blatem, która była jednym z nielicznych świadków niedysiejszej zamożności właścicieli. Ten staromodny mebel pozostał w mej pamięci po dzieć dzisiejszy. Pamiętam nawet bibeloty, które na nim stały, drobne przedmioty z porcelany, srebra, pęczek suszonych fiołków, figurki przedstawiające postacie dworskie. W tym czasie mebel ten był dla mnie symbolem magicznego dalekiego świata, którego istnienia mogłam wówczas tylko domyślać się. A teraz często zatrzymuję się przed wystawami francuskich antykwariatów i długo wpatruję się w cudze komody, fotele, sekretary, biblioteczki, tak jakbym chciała odgadnąć odległą przeszłość ich kolejnych właścicieli.

Usłyszałam niepewny, chwiejny chód Lucyny na klatce schodowej, świszczący oddech Moskalika, kiedy piął się po schodach do swojego "gołębnika". Wszyscy mieszkańcy tego domu już nie żyją, odeszli stąd, w przeszłość, po cichutku, dyskretnie. Myślę jednak, że dopóki są obecni w mojej pamięci, ich istnienie ziemskie jeszcze nie spełniło się. Dwa lata temu nie mogłam oprzeć się chęci wejścia do tej, tak bliskiej sercu posesji. Wbiegłam szybko po schodach, jakby w obawie, że ktoś może mnie obserwować. Wspięłam się na pierwsze piętro, szybko, pośpiesznie dotarłam do korytarza, zatrzymałam się przed drzwiami mieszkania, w którym mieszkałam przed laty. Schody i korytarz niewiele zmieniły się; teraz wydawały mi się jak gdy mniejsze niż przed laty. Nie znalazłam w sobie na tyle odwagi, by zastukać do drzwi tego domostwa. Cóż mogłam powiedzieć ludziom, którzy obecnie tam mieszkają?

Lokal, który zajmowała Lucyna i Roman Moskalikowie, ział pustką. Przypominam sobie, że to maleńkie schronienie Lucyna nazywała "gołębnikiem". Było ono zawsze niezwykle czyste, pomimo tego, że skromne i małe. Jasność przyciągała i zapraszała do swego pogodnego wnętrza.

W pomieszczeniu, w którym mieszkali dość długo Kwarciaakowie, a później Kasińscy, mieszkają obecnie inni, nieznani mi ludzie. Lokalu na parterze, zajmowanego w przeszłości przez pracownię fotograficzną Smoleńskiego, już nie ma. Pamiętam, że w ciężkich czasach, to znaczy w pełni rozkwitu "władzy ludowej", lokal ten został przekształcony na skup butelek. W tym ponurym czasie pogardy dla człowieka prywatna pracownia fotograficzna była przedsięwzięciem wysoce podejrzanym. Teraz, po wielu latach, kiedy stałam się osobą dorosłą, mogę w pełni uzmysłwić sobie stan ducha Niusi, byłej asystentki znanego w całym mieście fotografa. Spędziła ona całą młodość w tej pracowni, a kiedy nastał czas "błędów i wypaczeń" pracownia została przekształcona na obskurny skup butelek!!! Przypominam sobie, że Nusia w tym okresie była wyjątkowo zgorzkniała i zrzędlawa.



Ale jakże mogła być inna, skoro w podeszłym wieku przyszło jej pracować jak zwykłej wyrobnicy. Podejrzewam, że nie miała żadnej emerytury lub innego źródła utrzymania. Życie zmusiło ją by w podeszłym wieku "parać się tak nędznym zajęciem".

W starym rodzinnym albumie zachowały się czarno-białe odbitki wykonane przy jej udziale: portret ślubny rodziców, chrzest Dziuhki, Karola, zajęcia komunijne. Nie do wiary, ale jeszcze nie tak dawno, bo tylko 30 lat temu (coż znaczy 30 lat w porównaniu z wiecznością), cała ta dzielnica tętniła życiem i wszystkie jej zakątki pełne były dziecinnej wrzawy.

Czy wszyscy ci ludzie, moi sąsiedzi i znajomi, którzy tam kiedyś mieszkali i wiedli skromny lub wręcz ubogi tryb życia byli świadomi czasu pogardy i niewoli, z którym przyszło im się zmagać? Czy ten, tak bardzo krótki czas ziemskiego istnienia,



Centrum Białej Podlaskiej. Fot. 1966 r.

miął jakikolwiek dla nich sens? Czy choć na chwilę przystanęli by zastanowić się nad tym, czy byli tylko zajęci czynnościami dnia codziennego, czy nigdy takich pytań sobie nie zadawali?

Po trzydziestu latach, pozostała po ich bycie już tylko niema dekoracja i kilka grobów na cmentarzu miejskim, coraz rzadziej odwiedzanych przez krewnych i znajomych. Te nieme dekoracje potrafią rozszyfrować już tylko nieliczni przechodnie, ci, którzy tak jak ja zadadzą sobie trud dotarcia do miejsca ich dzieciństwa i młodości. Tylko z perspektywy przemijających dni można zdać sobie sprawę, że jesteśmy tutaj na Ziemi jedynie przechodniami, po których niewiele śladów przetrwa próbę czasu. Stare dzielnice, stare domostwa, to niemi świadkowie dawnych czasów, świadkowie którzy przetrwali i zawieruchę historii. Czasami czekają oni na nasze przybycie... i oto nagle jednym spojrzeniem przywołujemy ich ponownie do istnienia. I być może ten stary dom, stojący na samym krańcu Europy, został ocalony od zagłady jedynie dlatego, bym mogła, teraz, w tej oto chwili, odtworzyć wspomnienia z tamtych dziecinnych lat, a tym samym odnaleźć klucz do zrozumienia mojego obecnego życia. Dotrzeć tam, w przeszłość, przeżyć ponownie tamten czas, zrozumieć i przebaczyć tym wszystkim, którzy nie potrafili wskazać mi lepszej drogi do dorosłego życia. Myśli moje towarzyszyły również moim rówieśnikom, tym wszystkim, z którymi dzieliłam czas zabaw i bez troski dzieciństwa, tym wszystkim, którzy mieszkali w tej dzielnicy, w tym małym miasteczku. Były to dni pełne nadziei na lepszą przyszłość.

Praktycznie wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy opuścili ją w poszukiwaniu lepszych siedzib, komfortu, bardziej nowoczesnego życia. Może po wielu latach uświadamiają sobie, w chwili nagłego olśnienia, jak wiele stracili opuszczając swoje rodzinne miasto. Po wielu doświadczeniach człowiek uświadamia sobie, jak ważna jest dla normalnego funkcjonowania przeszłość, korzenie, z których wyszedł, które formowały jego osobowość w dzieciństwie. Jest rzeczą zrozumiałą, że nie wszyscy odczuwają potrzebę powracania do rodzinnego kraju, do rodzinnego miasta. Nie jest rzeczą prostą powracać do miejsca, z którego odeszło się przed laty, powracać do krajobra-

zu, do zapachów, smaków, kształtów. Czasami powrót ten może wywołać nieprzyjemne wspomnienia i kojarzyć się z bolesnymi przeżyciami, z uczuciem wstydu i upokorzenia, bezsilności, takiej samej jaką odczuwaliśmy w swym dalekim dzieciństwie (czy aż tak dalekim?). Być może powroty te podyktowane są niekiedy potrzebą odwetu, pokazania innym, że powiodło nam się w życiu (a może tylko wydaje się, że coś osiągnęliśmy). Wracają wtedy, po wielu latach, tam skąd wyszli i otwarcie patrzą w oczy tym wszystkim, którzy ich nie rozpoznali. Mogą wtedy powiedzieć sobie w duszy: a jednak miałam rację, jestem jedną z Was, lecz nigdy nie wyparłam się samej siebie, swojej przeszłości, swoich korzeni, ani swojej natury, ani wrażliwości na krzywdę innych, chociaż sama byłam w potrzebie i w biedzie. Pozostałam wierna do końca temu, w co wierzyłam od dziecka, chociaż Wy wszyscy byliście przeciwnie.

W tym krótkim czasie ziemskim, który jest nam przeznaczony, powinniśmy robić w życiu to, co uważamy za najważniejsze dla nas, to co jest zgodne z naszą najgłębszą naturą, to co podtrzymuje harmonię istnienia wszystkich istot na Ziemi, po czym odejść z ukojonym żalem w sercu. W kościołach w Polsce, przy wejściu, często spotyka się napis: "Wejść dalej, zrób miejsce następnym".

Henryk Czarkowski

(Biała Podlaska)

Żydilka (Żydówka)

Upływał okupacyjny czas. Łączyłem pracę księgowego w Liegenschawtowskiem majątku Śniatynka (dawne dobra hr. Tarnowskiego k/Drohobycza) z działalnością konspiracyjną. Majątkiem zarządzał niski, krępy i krzykliwy Niemiec Herr Friedrich. Tego roku drugie sianokosy rozpoczęły się wczesną jesienią. Pogoda dopisywała; dni były ciepłe, a nawet upalne. W majątku zakończono właśnie prace przy drugim pokosie.

Było już dobrze po południu, gdy po zakończonej w kancelarii pracy szukałem sposobu na pozbycie się bardzo ciężącego zmęczenia. Nikomu nie mówiąc, a mogłem czasami na to sobie pozwolić, udałem się nad staw, by zażyć kąpieli. Niedaleko pałacu, za paradną bramą i dworską aleją, wśród łąk, był wcale porządny staw. Hodowano w nim karpie dla własnych potrzeb. Przeplływający meandrami potok, kryjący się w głębokich jarach, przegrodzony słuzami, tworzył w sposób dość naturalny spory zbiornik wodny.

Woda była ciepła. Rozkoszując się kąpielą wykonałem kilka skoków z wyższej śluzy, gdzie było najgłębiej. Następnie, brodząc po płytkim strumyku, ruszyłem wraz z jego biegiem. Jak wspomniałem, płynął on w głębokim, krętym jarze, tak, że nikt od strony łąk i dworu nie mógł mnie widzieć. Rozkoszując się ciszą przedwieczornej pory i szmerem strugi, brodziłem bezymyślnie w płytkiej wodzie.

Nagle zza któregoś zakrętu wyłoniła się jakaś postać. Podeszedłem bliżej. Przede mną stała dziewczyna. Zaskoczenie było obopólne. Stanęliśmy jak wryci naprzeciw siebie. Ja zdumiony, bo skąd się tutaj mogła wziąć, ona zaś na mój widok zamarła. Była ładna, śliczna. Jej czarnokrucze włosy, splecione w gruby warkocz związany kolorową wstążeczką, kołysały się jakoś nieporadnie. Miała na sobie czerwoną bluzkę w białe grochy i ciemną, plisowaną spódniczkę. Zachlupotała bosymi stopami, jakby z zamiarem ucieczki. Wymiarkowałem, że owa "nimfa wodna" jest nieco młodsza ode mnie.

- *Kto ty jesteś - spytałem - co tutaj robisz? Skąd się wzięłaś?* Jej ciemne, wielkie, spłoszone oczy spojrzały z trwogą.

- *To pan nie wie? Pan się nie domyśla? Może pan nie chce zrozumieć?* Głos jej łamał się, oczy zaszkliły się łzami. Wyszeptwała:

- *Jestem Żydówką. Niemcy likwidowali dzisiaj drohobyckie getto. Zapakowali nas jak bydło do samochodów. Wieźli do brodnickiego lasu na zagładę. Uciekłam z sa-*

mochodu na zakręcie drogi. Oni za mną strzelali. Uszłam, i teraz ... teraz pan pewnie odda mnie w ich ręce...

- Coś ty! Nikomu cię nie wydám. Nie bój się! U nas w majątku jest "Gertnerei" (ogrodnictwo). Tam pracują Żydzi. Pójdiesz do "swoich". Dobrze im u nas. Praca lekka, nieźle ich karmimy. Przeżyjesz!

Podszedłem bliżej, a widząc, że się trzęsie, wziąłem ją za rękę, mówiąc:

- Pozbądź się trwogi. Nie jestem siepaczem. Daję ci słowo - uratuję cię.

- Panie - szepnęła cicho - jestem głodna.

- Poczekaj na mnie cierpliwie do zmroku - odparłem - teraz pójdę do majątku - przyniosę ci coś do jedzenia. Póki co ukryj się w tamtych kopkach siana, tych ostatnich. Pod żadnym pozorem, żeby nie wiadomo co się stało, nie wychodź! Wyjdiesz tylko wtedy, gdy ja cię zawołam.



Pałac w Śniatynce. Rys. autora wspomnień.

Wtedy to, kiedy tak układałem plan jej ocalenia, od strony majątku doszły do naszych uszu odgłosy salw karabinowych, terkot broni maszynowej, jakieś nieokreślone krzyki...

- Co to? - szepnęła trwożliwie, tuląc się mimo woli do mnie.

- Jak Boga kocham - nie wiem. Odczodziłem - był spokój. Nie bój się. Pójdę sprawdzić. Pamiętaj: przyjdę o zmierzchu, z chlebem. Siedź w tamtych kopkach.

Poszedłem targany obawą, zadając sobie pytania: co się stało? Skąd strzały w majątku? Mijając bramę wjazdową dostrzegłem spoza krzewów, że na stopniach wejściowych pałacu stoi wysoki drab w mundurze SS-mana. Nie mogłem już cofnąć się, było za późno. Podniósł właśnie do oczu lornetkę, patrząc w moją stronę. Siedzący u jego butów wilczur również skierował pysk w moim kierunku. Udaając, że niczego nie zauważyłem, jak gdyby nie szedłem ku pałacowi, wprost na nich. Bałem

się bardzo, ale szedłem. Pies jeżył się, SS-man bacznie lustrował mnie wzrokiem. Dostrzegłem, że było to wysokie chłopisko, na sępiej twarzy widniała szrama, u lewego boku zwisała odpięta kabura. Podeszedłem, ukloniłem się z udawanym spokojem powiedziałem:

- *Guten Tag.*

- *Tag* - warknął opryskliwie, i dorzucił po niemiecku: *Co tu robisz?*

- *Pracuję tutaj jako "Rechnungsführer"* (księgowy) - odparłem, starając się jak najlepiej wypowiadać niemieckie słowa.

A on mi na to: *weg* (precz).

Skwapliwie odszedłem, wiedząc na domiar, że jest pijany. Skierowałem się do drugiego, bocznego wejścia, gdzie była moja kancelaria. Po drodze dopadła mnie błada i roztrzęsiona kucharka. Wciągnęła do jakiegoś gospodarczego pomieszczenia i z przejęciem do ucha wyszeptała:

- *Panie buchalterze, Boże, gdzie pan był? Czy pan wie co oni zrobili? Oni wystrzelali wszystkich "naszych" Żydów "z ogrodnictwa". Koszmar! Gestapowcy siedzą teraz u Friedricha i wódę chleją. Zresztą on sam też się ich boi; bardzo się im podlizuje i płaszczy...*

Ach, to więc tak - pomyślałem. Stąd te strzały. A co ja zrobić z "moją" Żydówką? Zwracając się do kucharki powiedziałem:

- *To ja teraz na górę do kuchni nie pójde. Wolę im nie pokazywać się. Proszę przynieść mi parę kromek chleba, jestem głodny* (miałem na myśli "tamtą" dziewczynę i nie wzbudzając podejrzeń chciałem uzyskać jadło). Kiedy dostałem chleb, zamknąłem się w swojej kancelarii i rozmyślając jakby to na łąki wymknąć się. Nie ma co, trzeba czekać na odpowiednią porę, tylko cierpliwością coś wskóram.

Wówczas stało się to, co mogło się stać najgorszego. Gestapowcy jeszcze nie odjechali. Friedrich pragnąc się choć na chwilę wyrwać z ich towarzystwa, a jednocześnie wykazać jaki to on "pracuś", oświadczył, by się jeszcze zabawiali przy jadł i kieliszkach. On sam musi wydać polecenie, by zwozić siano.

Miało się ku wieczorowi. Słońce chyliło swoją tarczę ponad horyzontem, było jeszcze dość widno, jak to bywa przed zmierzchem. Pierwsze furmanki z polecenia Herr Friedricha i pod jego osobistym nadzorem wyruszyły na łąki, po siano... Jak mi później relacjonowali furmani, było tak: Zbierano pierwsze kopki. Tamta Żydówka siedziała w ostatnich. **Nie doszliby do niej.** Ale nie wytrzymała nerwowo. Widząc chłopów, ich zaprzęgi, słysząc pokrzykiwania Herr Betriebsleitara - sądziła zapewne, że to po nią. Wyskoczyła z kopki - biegnąc ku potokowi. Wtedy to właśnie dostrzegł ją furman Ołekska. Ten sam, co to kiedyś skarżył na Pińczuka. Ten, który mnie straszył Gestapem... On to, na ile mu głosu stało zarzyczał ze wszystkich sił

:



Typowy portret młodej Żydówki

- Żydilka! Żadilka!

Ten krzyk dotarł do majątku. Popędził w tamtą stronę Herr Fredrich. A oto i pijana hałastra gestapowców ruszyła na motocyklach w łąki. Sądzili, że to jakiś niedobitek z "Gertnerci". Krzyk Oleksy ich zmobilizował. Wyzwolił bandyckie instynkty.

Wkrótce terkot z maszynowej broni przerwał kres życia Tamtej, nie znanej mi przecież dziewczyny. Tamtej Żydówki, która mnie zaufała...

Tamte salwy, skierowane w nią - w moich odczuciach to tak, jakby były we mnie wymierzone. Co za okrutny, bzdurny zbieg okoliczności. Jakież to absurdalne.

Ta - wszak nie zawiniona przeze mnie zbrodnia - długo pozostanie w mojej pamięci. Pomyślcie: CHCIAŁEM JĄ URATOWAĆ. Czekala na mnie, na CHLEB - DOCZEKAŁA SIĘ ŚMIERCI ...

Roman Łysakowski

(Warszawa)

Ze wspomnień białczanina

Fascynujące harcerstwo. Cz. II

Jak po każdym kataklizmie, tak i po wojnie były ogromne kłopoty z zaopatrzeniem. W praktyce nic z precjozów harcerskich nie można było dostać. Starzy harcerze wygrzebywali gdzieś w domowych zakamarkach przedwojenne lilijki, emblematy, herby itp., które służyły jako wzory do wyrobu nowych, własnym sumptem. Tak zwanych "finck" (noży harcerskich) nie było wcale, więc przerabialiśmy bagnety wojskowe na noże harcerskie, aby nosić coś przy pasku. Wspaniałe przeróbki takie dokonywał Anatol Czajkowski, nieco starszy od nas kolega z Łusek. Była taka moda, a prócz tego narzędzie to przydawało się doskonale w warunkach obozowych. Lilijki i kotwice wycinaliśmy z blachy aluminiowej. Co się tyczy manierek i menażek, to na ogół były one dostępne, bo każdy miał jakieś kontakty z wojskiem. Sznury przeważnie obcinało się ze starych poduszek, które kiedyś obszywano ślicznie plecionymi sznurami z jedwabiu, idealnie nadającymi się na nasze potrzeby.

Nie brakowało jedynie pięknych poniemieckich tornistrów, wybitych na zewnątrz futerkiem, które nosili prawie wszyscy harcerze. Nazywaliśmy je "cielakami". Dość słabo przedstawiało się zaopatrzenie w sprzęt biwakowy i obozowy. W pierwszych miesiącach zdobywaliśmy, tzw. pałatki. Z trzech lub czterech takich trójkątnych pałatek można już było zbudować namiot. Garnki przynosiliśmy z domów, pożyczane od naszych rodziców. Jednak nie zaspokajało to w pełni ani naszych potrzeb, ani aspiracji. Dopiero dużo później otrzymaliśmy prawdziwe zaopatrzenie z miejscowego biura Centralnego Komitetu Opieki Społecznej (CEKOS), powstałego z wojennego RGO (Rada Główna Opiekuńcza). Mieściło się ono przy ulicy Reformackiej, a jego kierowniczką była moja mama, tzn. Stanisława Łysakowska. W pełni rozumiała potrzeby nowo powstałej organizacji (ZHP), której zresztą była również członkiem podczas pierwszej wojny światowej. Z tego m.in. powodu została pobita przez kozaków (od uderzenia kolbą miała złamany obojczyk). Postarała się o wspaniałe amerykańskie piętnastoosobowe namioty, kotły, garnki i inne wyposażenie, które wypożyczano nam na obozy i biwaki. Nareszcie byliśmy w pełni usatysfakcjonowani!

Ze źródła tego (zaopatrywanego m.in. przez UNRRA - pomoc Narodów Zjednoczonych w odbudowie krajów zniszczonych wojną), wielu druhów otrzymało solidne buty, berety, a nawet ubrania i bieliznę. Największym powodzeniem cieszyły się wspaniałe wełniane swetry ze stojką przy szyi i battle dressy - kurteczki wojskowe

z armii amerykańskiej. Ogromną pomocą były również artykuły żywnościowe, w które wyposażano nasze drużyny na biwaki i obozy letnie. Były tam takie rarytasy jak czekolady w blokach i puszkach, mleko skondensowane, soki owocowe, suszone owoce tropikalne, chałwa, kruche ciastka, a nawet guma do żucia, tzn. artykuły, które nikt nie próbował pierwszy raz w życiu!



Krzna. Nad tą rzeką obchodziliśmy Święto Morza.

A biwaki były coraz częstsze. Ulubione miejsce wycieczek stanowiła Kołyhawa, położona stosunkowo niedaleko miasta. A las tam był gęsty i duży. Jednym z ważniejszych wydarzeń w naszym harcerskim życiu, które warto odnotować, była impreza urządzona w dniach 23 i 24 czerwca 1945 r. z okazji Święta Morza. Wzdłuż brzegów Krzny, co kilkadziesiąt metrów, płonęły ogniska rozpalone przez harcerzy, przy których odbywały się imprezy zorganizowane przez poszczególne drużyny. Po rzece na trasie od "Łazienek" do mostu, pływała V Żeglarska Drużyna. Przy moście zatrzymaliśmy się, a gdy zapadł zmrok, niezależnie od palących się na kajakach kolorowych lampionów, rzucaliśmy świetlne race i termity. Strzelano również rakiety. Otrzymaliśmy nawet zgodę władz na przedłużenie godziny policyjnej do godz. 24.00. Kajaki udekorowaliśmy bardzo kolorowo, z wieloma chorągiewkami i specjalnie wybudowanymi masztami, na których powiewały proporczyki. Girlandy z kwiatów splewały z tych masztów do obu dziobów. Również wzdłuż obu burt przeciągnięte były kolorowe taśmy z kwiatami. Na masztach świeciły kolorowe lampiony. Śpiewaliśmy pieśni harcerskie, flisackie i marynarskie, przeważnie na głosy, gdyż jak wcześniej wspomniałem, większość członków naszej drużyny należała do chóru szkolnego.

Zarówno wzdłuż brzegów rzeki, jak i na moście, stały tłumy ludzi wiwatujących na naszą cześć i bijących brawa. Byliśmy bardzo dumni, że jesteśmy ośrodkiem zainteresowania, że tak korzystnie wypadliśmy w oczach całego miasta. Odbywały się również wyścigi krajowe, w których pierwsze miejsce zajął kajak Jasia Furmana. Ja, wraz z Mietkiem Cislawskim, zajęliśmy trzecie miejsce. Pieniężne nagrody (po trzyście złotych dla każdej zwycięskiej załogi) przeznaczaliśmy na wydatki związane z najbliższym obozem.

ZHP organizowało wtedy różne imprezy w mieście. "Daliśmy" m.in. koncert w "Skali", reprezentacyjnym wówczas miejscu Białej Podlaskiej. W sali tej występował również Teatr Ziemi Podlaskiej. Na koncert ten składały się także występy solistów. Była nawet aria Jontka z "Halki" Moniuszki, w wykonaniu Tadeusza Walczaka. Zagrali na fortepianie utwory Mozarta

druhowie Jerzy Kaliński i Stefan Łysakowski, chór harcerski odśpiewał kilka znanych utworów kompozytorów polskich (między innymi Poloneza As-dur Chopina "Grzmiecie trąby i puzony..." i marsza weselnego z opery "Halka" Moniuszki "Niech nam żyje para młoda..."), na skrzypcach utwory Brahmsa odegrał dh Roman Kujawa, przy akompaniamencie fortepianowym dha Stanisława Augustynika. Piękne afisze, opracowane graficznie przez dha Ryszarda Plucińskiego rozlepione zostały w całym mieście już na tydzień przed imprezą. Dostaliśmy wiele dowodów uznania za wysoki poziom artystyczny tej imprezy, co w naszym stopniu należało się panu profesorowi Wincentemu Świątłowskiemu.

W miarę zbliżania się lata i wakacji, snuliśmy plany obozowe. Były różne koncepcje, przeważała jednak propozycja drużynowego, aby pierwszy obóz drużyny urządzić nad brzegiem Bugu, w pobliżu Serpelic. Cóż to była za emocja! Pierwszy prawdziwy obóz harcerski! Te wyśnione chłopięce marzenia miały się teraz spełnić. I spełniły się!

Nie przypuszczałem, że będzie to tak udana impreza, pełna emocji i nieprzewidzianych wydarzeń. Już sama podróż była swoistym przeżyciem. Najpierw transport sprzętu samochodem, dostarczony przez zaprzyjaźnioną jednostkę wojskową, później transport kajaków, częściowo wodą, częściowo na dwukołowych wózkach (do stacji kolejowej, niezapomnianej, pocziwej "ciuchci"). Pogoda była piękna, słoneczna. Mimo przestrogi opiekunów, część uczestników eskapady wspięła się na dachy wagoników kolejki i tam zażywała świeżego powietrza. Dopiero rozkaz komendanta, na jednym z przystanków, zmusił ich do opuszczenia tych nietypowych stanowisk. Nie mieliśmy jeszcze wtedy dobrego wyposażenia, dlatego namioty musieliśmy budować we własnym zakresie. Druh Mieczysław Cisławski wpadł na pomysł, za który dostał sprawność "Wynalazcy", wykonania z wikliny ładnie plecionych ścianek namiotu, utkanych mchem. Na nich stawiano się daszek z pałatek, w które zaopatrzone był każdy druh. Z czterech takich elementów powstawał czteroosobowy namiot. Po wiklinie robiliśmy wyprawy na drugi brzeg Bugu. Namioty wyglądały bardzo efektownie i były wygodne. W środku budowaliśmy pryzce z siennikami z poszycia leśnego, na które kładliśmy koce i wszyscy później spali jak susły. Komenda obozu miała duży namiot, zbudowany z jednej ogromnej plandeki. W skład komendy wchodził: komendant obozu - ćwik Władysław Kowalski, drużynowy V ŻDH, oboźny G. Kuźmicow



V Żeglarska Drużyna Harcerska w drodze do kościoła (Biała Podl. 1947 r.)

i drużynowy VII DH ze Szkoły Kupieckiej, prowiantowy S. Kwarcia (gospodarz hufca). Był w obozie również jeden wielki namiot, zwany hangarem, w którym zbieraliśmy się podczas deszczów (należał on do VII DH ze Szkoły Kupieckiej).

Poza różnymi gośćmi, którzy nas odwiedzali na tym obozie, pojawił się również nasz drużynowy z okresu okupacji pan Jakubowski. Z nim to śpiewaliśmy piękną modlitwę harcerską, zaczynającą się od słów: "O Panie, który jesteś w niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń, harcerze dzisiaj proszą ciebie...". Śpiewały ją również podczas okupacji jednostki NSZ w Górach Świętokrzyskich. Jest to piękna modlitwa... Poza różnymi atrakcjami, jak nocne alarmy, wycieczki, poznawanie nadbużańskich miejscowości i terenu w okolicach obozu, całego szeregu ćwiczeń przysposabiających nas do zdobycia następnego stopnia harcerskiego, mieliśmy jedno przeżycie pełne grozy, które mogło skończyć się tragicznie. Muszę tutaj przypomnieć, że był to rok 1945, tuż po zakończeniu działań wojennych. Czasy niespokojne. Lasy były jeszcze pełne różnego rodzaju "resztek" partyzanckich; trafiały się też różnego rodzaju męty społeczne, chodzące na rozbój. W miastach w dalszym ciągu obowiązywała godzina policyjna, a mimo to stałe słyszało się o różnych przypadkach poważnego naruszania prawa. Nocy tej wartę miał II zastęp "Mew", którego byłem członkiem. Przytoczę tutaj dosłownie zapis z kroniki tego zastępu: "Była może piąta rano. Wychodzę



Obóz I DH ZHP (Serpelice 1945 r.). Od prawej:
dh K. Waszczuk, dh S. Lysakowski (drużynowy).

z namiotu, trochę jeszcze zaspany, i oniemiałem z wrażenia. Obóz nasz otoczony był sporą grupą żołnierzy, uzbrojonych w gotowe do strzału automaty. Tuż koło naszego namiotu cziła się zdradziecko "suka" (ręczny karabin maszynowy), z "paszczą" skierowaną w stronę obozu". "Wszystko jednak - dzięki Bogu - skończyło się dobrze, gdyż wojsko zobaczywszy nasze mundury, przekonało się, że jesteśmy tylko zwykłymi "pionierami". "Jak się później okazało, zauważyli nas w nocy i byli święcie przekonani, że mają przed sobą partyzantów. Czekali jednak, aż się rozwidni i wtedy mieli zaatakować ...". Tyle z kroniki.. I nic dziwnego, że mogli pomylić się, gdyż

wartę pełniliśmy w długich żołnierskich płaszczach, wyfasowanych z CEKOS-u. Noce nad rzeką były wtedy dość chłodne. Wypatrzył nasz obóz również oddział Armii Czerwonej z Mielnika. Podobno czekali tylko na karabin maszynowy, po który posłał ich dowódca, by następnie rozpocząć akcję... Był to mój pierwszy po wojnie i najwspanialszy obóz harcerski, taki jak może sobie tylko wymarzyć młody człowiek, żyjący przez pięć lat w ciągłym przeświadczeniu bezsilności wobec panującego wszechwładnie okupanta, maltretującego wszystko, co polskie, wzniósłe i święte. Nie dostrzegaliśmy żadnych braków, cieszyliśmy się wszystkim co mamy i cały świat wydawał się piękny. Przypalona zupa czy też chlebowka zrobiona z pogniecionego chleba, za którą daliśmy "kocówę" naszemu prowiantowemu (mieliśmy za to później karne nocne ćwiczenia), dodają tylko pikantnego smaku do tych wspomnień. Zapach tej zupy i zapach tamtego dymu z ognisk na leśnych polanach pamięta się przez całe życie. Nasze ogniska, organizowane także dla mieszkańców pobliskich miejscowości, spotykały się z ogromnym entuzjazmem wśród nadbużańskiej ludności. Przychodzili oni gremialnie na tego rodzaju imprezy i oklaskiwali nasze występy artystyczne.

Na tym obozie zdobywaliśmy sprawności. Odpowiednie emblematy nosiło się później na prawym ramieniu, z wyjątkiem sprawności samarytańskich, które nosiło się na lewym. Kończąc służbę harcerską, dwa lata później, miałem ich 27. Na tym obozie, z ciekawszych sprawności, zdawaliśmy m.in. na "trzy pióra". Zdawało się ją przez trzy dni. Jednego dnia, przebywając w obozie, nie można było odezwać się do nikogo ani jednym słowem. Drugiego, należało tak się ukryć, aby nikt ani jednym spojrzeniem nie mógł ciebie zauważyć, a trzeciego dnia nie można było nic wziąć do ust: obowiązywał post absolutny. Ciekawą sprawnością był również "leśny człowiek". Zdawałem ją razem z Wieskiem Bednarzem. Otrzymaliśmy dwie zapalki, trochę soli, tłuszczu i wyruszyliśmy z rana do lasu, aby tam wykonać pewne zadanie, a przy tym przyrządzić sobie trzy gotowane posiłki!

Nasz namiot cieszył się niezwykle powodzeniem. Mieszkało w nim czterech pogodnych harcerzy, z których wprost niezwykle poczuciem humoru wyróżniał się Jędrzek Medwecki. Spał on w długiej białej koszuli i niejednokrotnie, już po apelu, tańczył w niej w namiocie, przybierając przy tym niesamowite pozy. Wiesiek Bednarz z kolei grał na ustnej harmonijce i miał dar opowiadania ciekawych dowcipów. Duże poczucie humoru miał również czwarty mieszkaniec - Mietek Cislowski, przewyższający nas wszystkich o głowę swoimi pomysłami, zaradnością i umiejętnościami majsterkowicza. W wolnych od zajęć chwilach ku uciechu obozowej gawiedzi, popisywaliśmy się zdolnościami narratorskimi i wokalnymi. Dlatego też bardzo często w namiocie naszym przesiadywał oboźny, a czasami nawet sam komendant. Z obozu wróciliśmy 7 sierpnia i aż do rozpoczęcia roku szkolnego nie mieliśmy już zbiórek. Pierwszym po wojnie obozem harcerskim na terenie podległym naszemu hufcowi był obóz 1 BDH w lasach obok Leśnej Podlaskiej. Zorganizowany on został w czerwcu 1945 r. Miejsce wynalazł i został komendantem obozu drużynowy 1 BDH Zbigniew Skolimowski, który z Leśnej pochodził i znał tam każdy kąt. Nie mając nawet "pałatek", drużyna zorganizowała obóz pod szalasami. Były one budowane z cienkich pni i gałęzi, na wycinkę których uzyskano specjalne zezwolenie. Było to

coś wspaniałego! Mieszkało się po "puszczańsku", jak w powieściach Coopera czy też Curwooda. Prawdziwe "lato leśnych ludzi"! Wieczorami i w nocy las był tajemniczy, a na nocnych wartach niejednemu łydki się trzęsły ze strachu! Wszystko przebiegało doskonale, ale tylko przez pierwszy tydzień. Niestety, potem przyszedł deszcz, przeschnięte gałęzie zaczęły przeciekać, a po jakimś czasie wręcz lało się z dachów do środka szafasów. Trzeba było wycofać się najpierw do szkoły w Leśnej, a potem, kiedy nie zapowiadało się na poprawę pogody, obóz przerwano. "Jedynka" jednak nie dała za wygraną. Sława tego obozu rozeszła się już po mieście, drużynowi porozumieli się i 1 BDH zorganizowała drugi obóz, przejmując nasze obozowisko w Serpelicach. Na obu obozach "Jedynki" komendantem był drużynowy tej drużyny dh Zbigniew Skolimowski, oboźnym - przyboczny, dh Stefan Łysakowski, a prowiantowym dh Jerzy Kaliński. Należy podziwiać odwagę i determinację harcerzy oraz zaufanie rodziców do organizatorów obozów. Oczywiście szkoła była jakimś gwarantem swoich opiekunów, którzy jednak - o ile pamiętam - nie przebywali na stałe na tych ad hoc organizowanych obozach, ale dojeżdżali do nas niemal codziennie z Białej. Opiekunami tymi byli: prof. Zbigniew Komenza (junior) i nauczyciel wychowania fizycznego prof. Jan Ciejpa. Obozy były kontrolowane przez komendę Hufca - głównie komendanta - oraz kapelana Hufca ks. Edmunda Barbasiewicza.

Obóz w Szklarskiej Porębie, który miał miejsce w 1946 roku, był krajową imprezą na dużą skalę. Obozy w Serpelicach i w Leśnej Podlaskiej były blisko Białej i organizowano je bez większego zachodu. Uczestnicy i rodzice mieli tę świadomość, że wystarczyło wsiąść do "ciuchci" i za godzinę było się wśród bliskich. Co się działo w obozie wiadome było jeszcze tego samego dnia. Zupełnie inaczej było w przypadku obozu w Szklarskiej Porębie. Nasza podróż zestawami pociągów towarowych trwała ponad dwie doby. A dostanie się wówczas do tej miejscowości pociągiem osobowym zajmowało cały dzień (pociągów pośpiesznych nie było). Odwiedziny rodzin były praktycznie biorąc niemożliwe, a korespondencja "szła" tygodniami i uczestnicy niejednokrotnie dopiero po powrocie z obozu otrzymywali swoje własne kartki wysłane z Sudetów.

Podróż była wręcz egzotyczna! Wagony towarowe, którymi podróżowaliśmy, w połowie wysłane były słomą do spania. Ze względu na upały drzwi musiały być podczas podróży otwarte; zabezpieczone były tylko specjalną poręczą. W drzwiach siedziała "wiara" i napełniała mijane osiedla i pola wspaniałymi harcerskimi piosenkami. Każdy zastęp miał swój wagon, a ponieważ podczas podróży nie było możliwości komunikowania się pomiędzy nimi, zastępowy był w pełni odpowiedzialny za to, co się dzieje w jego zastępie, a głównie za bezpieczeństwo kolegów. I trzeba powiedzieć, że ci młodzi chłopcy czuli tę odpowiedzialność. Nie do pomyślenia było nieposłuszeństwo. Jeśli zastępowy wydał rozkaz, chociaż był to kolega z tej samej klasy, trzeba było go natychmiast wykonać. Najwięcej czasu pochłaniały podczas podróży długie postoje, związane z oczekiwaniem na podłączenie do kolejnego zestawu pociągu. Te wielogodzinne oczekiwania miały miejsce zwykle na torowiskach towarowych, z dala od stacji osobowych. Rano, o świcie, myśliśmy się w lodowatej wodzie ze studziennych żurawi przeznaczonych do lokomotyw. Następnie odbywał się regularny apel, sprawdzanie obecności i raport, a potem jadło się śniadanie z zapasów

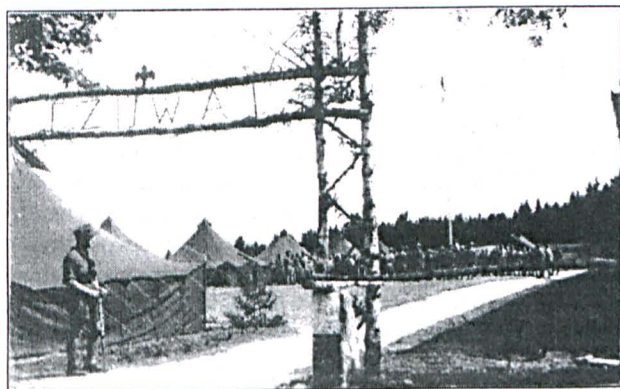
suchego prowiantu (obowiązywał każdego zapas na trzy dni), popijając kawą z naszego kotła, jeśli zastęp służbowy zdołał ją gdzieś przy torach zagotować.

Wyludnione to były tereny. Napływała do nich powoli ludność z kresów wschodnich, emigranci z terenów zajętych przez Związek Radziecki. Jadąc pociągiem mijaliśmy miejscowości niemal pozbawione ruchu ulicznego. Mnóstwo opuszczonych domów świeciło pustkami. Przesuwały się te obrazy przed naszymi oczami jak taśma filmowa. Różnił się ten krajobraz od podlaskiego widoku wiejskich chat, w większości pokrytych jeszcze strzechą. Zajmowaliśmy kilka wagonów towarowych, które pełne były sprzętu obozowego, a także naszego śmiechu, gwaru, śpiewu. Po drodze mijaliśmy mnóstwo pociągów, również pełnych braci harcerskiej zdążającej na obozy. Od harcerzy roily się wszystkie napotykanne po drodze przystanki. Wymienialiśmy się między sobą herbami, co wtedy było bardzo modne. Dlatego też każdy z nas miał zawsze na taką okoliczność kilka lub kilkanaście białych aniołów z wagą i mieczem w rękach (herb Białej Podlaskiej). Wymiana tych tarcz była pięknym zwyczajem. Sam miałem kolekcję co najmniej kilkudziesięciu różnych herbów. Najładniejsze znaki wyszywał Tadzio Walczak z trzeciego zastępu; miał ku temu jakieś specjalne zdolności. A zastęp, w którym służył, zgromadził na tym obozie samych artystów: był w nim Roman Kujawa - skrzypek, Stasio Augustynik - muzyk i artysta rysownik, Ryszard Pluciński - genialny karykaturzysta, "Gucio" Koliński - deklamator (późniejszy aktor Teatru Domu Wojska Polskiego w Warszawie), Tadeusz Walczak - solista, tenor i sławny dzisiaj aktor Roman Kłosowski - deklamator. Wracając do herbów, to były one wyszywane głównie przez harcerki z zaprzyjaźnionego z nami Liceum Ogólnokształcącego im. Emilii Plater oraz przez siostry kolegów z drużyny. Zapotrzebowanie na ten artykuł było duże. Nie doczekaliśmy się profesjonalnej produkcji bialskiego herbu i do końca korzystaliśmy tylko z usług "chałupniczych".

Niemal wszyscy byliśmy po raz pierwszy w życiu w górach. Przyroda porażała swoją dzikością: zarośnięte ścieżki, poniszczone turystyczne drogowskazy i zapuszczone szlaki, a jednocześnie przecierające tu i ówdzie skały (nieznane na Podlasiu), rwące potoki i wspaniałe krajobrazy. Oto miejsca, gdzie przyszło nam w te pamiętne dni prowadzić gry i ćwiczenia, zdobywać sprawności i cieszyć się życiem traperów.

Rozbiliśmy obóz w Karkonoszach, u stóp Wysokiego Kamienia, w pobliżu sławnego Zakrętu Śmierci. O bok stały dwa opuszczone baraki, w których rozlokowała się kuchnia, magazyn i intendentura. Na zapleczu znajdował się rozległy płaski teren, na którym rozbiliśmy swoje namioty w prostokątną podkowę (zamkniętą barakami). Tym razem wyposażenie mieliśmy wymienione. Niemało przyczyniła się do tego moja Mama, która gorliwie zabiegała o dobre przygotowanie obozu i nadzorowała wszystkie przydziały. Otrzymaliśmy z CEKOS-u dużo artykułów żywnościowych, paczki UNRRA, kotły, chochle oraz kilkanaście namiotów piętnastoosobowych. Wszystko było, jak to się mówi: "palce lizać".

Ustawienie namiotów trwało krótko. Pozostało jeszcze okopanie ich, udekorowanie wejść, wykonanie bramy wjazdowej z napisem "CZUWAJ", stojaków do suszenia menażek, wieszaków, prycz itp. Rano o godzinie 6.30 budziła nas pobudka trębacza obozowego, którym na zmianę był albo z "Piątki" Dzidek Kononow, albo



... brama wjazdowa

Obóz w Szklarskiej Porębie

...wciąganie flagi narodowej
na maszt

z "Jedynki" z Trębski. Do godziny 7.00 należało umyć się (w barakach były czynne umywalnie), ubrać, uporządkować tornistry i namioty oraz położyć łóżka. O godzinie 7.00 był gwizdek na apel poranny. Wiara wysypywała się z namiotów, w pośpiechu kończąc układanie koców na pryzkach. Apel składał się z meldunków o stanie obecności, które przedstawiali obożnemu zastępowi, oraz krótkiego przeglądu umundurowania harcerzy. Potem pojawił się Komendant, któremu obożny składał raport o stanie obozu. Wtedy następowało zaciągnięcie flagi narodowej na maszt, odśpiewanie modlitwy porannej ("Kiedy ranne wstają zorze" wieczorem śpiewaliśmy modlitwę "O Panie, który jesteś w niebie" i "Idzie noc...") oraz odczytanie rozkazu dziennego. O godzinie 7.30 już było śniadanie, a o godzinie 8.00 rozpoczynały się zajęcia wg rozkazu dziennego: albo całym obozem, albo w drużynach i zastępach. Pogoda nam

dopisywała, więc codziennie byliśmy w terenie, mając ciągle nowe zadania: wędrówki wg kompasu, harcerskie biegi sztafetowe, ćwiczenia z sygnalizacji, bezgłośnie podchody, ćwiczenia terenowe. Osobny rozdział stanowiło zdobywanie sprawności, takich jak: sobieradka obozowego, samarytanina, sanitariusza, leśnego człowieka, czy też bardzo cenionej i niełatwej do zdobycia sprawności o nazwie: trzy pióra. Chodziliśmy również na górskie wycieczki piesze, czasami nawet całodniowe.

Z obozu tego utkwiły mi w pamięci ogniska organizowane dla miejscowej ludności i sąsiednich obozów ZHP. Niezależnie od piosenek harcerskich, przy wykonywaniu których górowaliśmy zdecydowanie nad innymi zgrupowaniami (chór śpiewający na cztery głosy), śpiewaliśmy też pieśni patriotyczne oraz utwory najślawniejszych polskich kompozytorów. Ludność tamtejsza przybyła z ziem wschodnich, w dużej mierze dotknięta była wcześniej represjami i wiele ucierpiała podczas wojny. Dlatego też niektóre nasze występy przyjmowała z łezką w oku, a podczas deklamacji wiersza pt. "List z Sybiru" (przez Romka Kłosowskiego) kobiety płakały rzewnymi łzami. Wyłączyliśmy ten numer później z naszego repertuaru. Z kolei drużynowy 7 BDH ewik Stefan Odyński miał taki numer popisowy, że przebiegał się za Hindusa odpowiadającego na pytania (które na karteczkach pisali zebrani), jeszcze przed ich przeczytaniem. Kartki te trzymał pojedynczo w ręku występujący z nim pomocnik, który po wygłoszonej przez "Hindusa" odpowiedzi, podawał mu do głośnego odczytania zadane pytania. Była to dobra zabawa, tym bardziej, że potrafił on stworzyć nastrój wprowadzający obecnych w świat mistyczny.

Opiekunami na obozie w Szklarskiej Porębie byli: prof. J. Ciejpa i prof. F. Zdąnowski. Mieszkali w baraku, którego okna wychodziły wprost na nasze namioty. Jeśli tylko byliśmy w obozie, mogli do woli obserwować zachowanie się wszystkich i każdego z nas. Należy podziwiać ich takt i podejście jako wychowawców, ponieważ wszystkie swoje uwagi (raczej w postaci porad) zgłaszali zawsze do komendy obozu, nie wtrącając się w bieżące jego życie. Dla nas na co dzień jakby ich nie było.



Zespół artystów. Od lewej: S. Augustynik, Bazyleczuk, nn, R. Pluciński, Koźlarz, R. Kujawa, S. Koliński, nn, T. Walczak. Szklarska Poręba 1946 r.

Nie obyło się i na tym obozie bez zdarzeń mających związek z minioną wojną. Druhowie nasi zauważyli, że miejscowa autochtonka codziennie rano podąża z torbą i kanką z mlekiem w kierunku lasu. Zainteresowani tym wysledzili babkę, która nosiła jadło do bunkra dla ukrywających się żołnierzy niemieckich. Po wiadomieniu o tym władze zlikwidowały to niebezpieczne miejsce. Zwiedzaliśmy pobliskie miejscowości, gdzie prawie za bezcen można było nabyć karabinek - wiatrówkę, a nawet flower. Wielu druhów zaopatrzyło się również w narty, których wszędzie były stosy.

Robiliśmy wycieczki do pobliskich schronisk, które przeważnie zastawaliśmy puste, lub dopiero świeżo zasiedlone. Tak, że zaopatrzenie musieliśmy brać ze sobą. Gdyby nie strumyki, nie byłoby nawet gdzie napić się wody. Nie obeszło się również bez odwiedzin służb bezpieczeństwa, które zaniepokojone naszymi ćwiczeniami (strzelaliśmy rakiety), przybyły do obozu, by kategorycznie zabronić nam używania hałaśliwego sprzętu. Na zakończenie obozu przeszliśmy specjalny sprawdzian, zwany "biegiem na stopień", w wyniku którego otrzymaliśmy stopień "Wywiadowcy" (a młodszy harcerze "Młodzika", wraz z krzyżem). Nasz druż. instruktor phm. Kazimierz Waszczuk twierdził, że ten stopień jest najbardziej typowym harcerskim stopniem i zdobycie go świadczy o zdobyciu kwalifikacji, jakie powinien posiadać każdy prawdziwy harcerz. Miał rację! Srebrna lilijka na krzyżu przyniosła nam dużo radości i poculiśmy się dużo mocniej związani z tą organizacją.

W 1946 roku, niezależnie od obozu w Szklarskiej Porębie, zorganizowany został kilkudniowy biwak w ramach "kursu ćwików". Uczestnikami tego obozowiska byli starsi harcerze, posiadający już stopień wywiadowcy. Odbiło się ono w Serpelicach, w miejscu naszego pierwszego obozu z 1945 roku. Wkrótce po tym otrzymaliśmy ten stopień i nabiliśmy sobie złote lilijki na krzyże harcerskie. Komendantem kursu był Włodzimierz Kowalski, już wtedy Harcerz Orli, noszący pod krzyżem listki dębowe, świadczące o pięcioletnim stażu w ZHP.

Ostatnim obozem, na jakim byłem w gronie kolegów z Białej Podlaskiej, był obóz Hufca na Jaszczurówce w Zakopanym. Tam mieliśmy równie dobre zaopatrzenie z CEKOS-u, zarówno w wiktuały z UNNRA, jak i sprzęt obozowy. Spaliśmy na bardzo wygodnych pryzkach. Ponieważ z Włodkiem Furmanem mieliśmy sąsiednie pryzce, dodatkowo nakrywaliśmy się wełnianym huculskim pledem, jaki wziął on ze sobą na ten obóz. Kilkanaście "piętnastek" jednomasztowych i jedna dwumasztowa (komendy obozu), prezentowały się na stoku góry imponująco. Wspaniała brama w stylu zakopiańskim i wysoki maszt, jak na żaglowcu, były naszą chlubą. Stołówkę mieliśmy wyrzeźbioną w kształcie lilijki. Podczas pobytu na tym obozie nawiązaliśmy ścisłą współpracę z miejscowym Nadleśnictwem, co pozwoliło nam wykonać kilka pożytecznych prac, a między innymi mostek na rzece Bystra, który oglądałem jeszcze wiele lat później, będąc na wycieczce w Zakopanym. Daliśmy również kilka koncertów, między innymi w Sanatorium na Jaszczurówce. W repertuarze były wtedy: polonez As-dur Chopina, marsz weselny z "Halki" Moniuszki (śpiewany przez chór na cztery głosy), Roman Kujawa z Jurkiem Kalińskim zagrali w duecie smyczkowo-akordeonowym kilka czardaszy Brahmsa, były deklamacje, piosenki harcerskie i skecze. Otrzymaliśmy burzliwe brawa i serdeczne podziękowania z dyrekcji sanatorium, za umilenie czasu młodzieży chorej na gruźlicę kości. Nawiązane tam znajomości przetrwały długi czas i jeszcze kilka lat później niektórzy z naszych kolegów spotykali się z dziewczętami tam poznanymi. Z wielkim uznaniem wspominały one ten koncert. Po powrocie do Białej próbowaliśmy jeszcze kontynuować nasze dobre tradycje. Ówczesny komendant Hufca, phm. ksiądz Edmund Barbasiewicz (komendant ostatniego naszego obozu w Zakopanem), robił co mógł, aby utrzymać hufiec i zachować stare tradycje wśród jego członków. Zostałem nawet drużynowym utwo-



Członkowie komendy obozu.
Od lewej: K. Waszczuk, S. Łysakowski,
R. Ujma, Z. Skolimowski.



Obóz Hufca na Jaszczurówce w Zakopanem (1947 r.)

zonej drużyny lotniczej, ale trwało to krótko. Zdążyliśmy jeszcze odbyć kurs drużynowych (z Włodzimierzem Kowalskim) w Cytadeli w Warszawie i na tym działalność tego harcerstwa, opartego na Przyrzeczeniu i przedwojennym Prawie Harcerskim zakończyła się. Władze robiły coraz większe wstręty dawnemu harcerstwu: odebrano hufcowi lokal na Placu Wolności. Tradycje prawdziwego ZHP - skautingu - zostały zawieszone aż do 1989 roku! W szkołach zorganizowano obowiązkową Służbę Polsce, a jej letnie obozy zakłóciły tok prac harcerskich. Część druhów rozjechała się po kraju, inni zrezygnowali z pracy zabarwionej na kolor różowy. Znakomita większość dochowała jednak wierności składanej niegdyś przysiędze... Przyjaźnie z tamtych lat przetrwały, a wspomnienia najwspanialszych chwil w naszym życiu pozostają w pamięci i często odżywają podczas spotkań. I mamy dużą satysfakcję, żeśmy nie sprzeniewierzyli się tym ideałom, jakie zostały nam wtedy wpojone.

I znowu staje przed oczyma skrzące się ognisko, sypiące iskrami, szumiący Bug i mury naszego "Kraszewskiego", które były świadkami radosnych wydarzeń z tamtych lat naszej młodości. Zachowały się jeszcze pamiątki z tamtych lat, a między innymi pamiątnik, z którego pozwolę sobie zacytować wpis jednego z moich najbliższych przyjaciół, Andrzeja Medveckiego:

"Spędziliśmy razem tyle dni obozowych,
Ja jako błazen, Ty prawie jako zastępowy.
Chodziliśmy razem na długie wędrówki.
Widzieliśmy lasy, góry, łąki, pasące się krowki.
Razem do kotła kluski rzucaliśmy,
Razem pod kocioł drzewo podrzucali,
Razem na pryczy do rana spaliliśmy,
Razem złościli i razem się śmiali.
Razem szliśmy na ognisko w goście,
Razem na harcerskie zdawali sprawności,

Razem przed obiadem łykaliśmy ślinkę,
Razem wzajemnie łataliśmy kości.

Myślę, że się nigdy nie zapomnimy,
A także minionych dni obozowych,
Ja jako błazen strojący miny,
Ty jako prawie zastępowy.

*Kochanemu Romkowi, na pamiątkę
wpiisał i narysował*

A. Medwecki

Biała Podlaska 18.III.1946 rok.

Wpis ten ubarwiony jest akwarelą przedstawiającą górski krajobraz ze śmiejącym się słońcem i wędzkiem, który ze zdziwieniem obserwuje harcerza, w pocie czoła dźwigającego na plecach narty, w pogodny letni dzień, z dopiskiem: "Wspomnienie z lata 1946 roku!"

We wspomnieniach wykorzystane zostały uwagi współtowarzyszy tych przeżyć: mojego brata Stefana Łysakowskiego, ówczesnego Przybocznego Hufca ZHP Biała Podlaska (Harcerza Orlego) oraz Zbigniewa Skolimowskiego, Drużynowego 1 BDH ZHP (Harcerza Orlego).

Warszawa, dnia 16.II.1998 r.

Legenda

o początkach Białej na Podlasiu

*Opowiedział ją Julian Tykałowicz z Dubowa
swojemu synowi Szymonowi, a ten
swojemu wnukowi
Franciszkowi Bojko z Porosiuk.*

Było to bardzo... bardzo dawno temu, jeszcze w czasach pogańskich. Nad leniwie płynącą Krzną, w pobliżu niedostępnych bagien, tutaj gdzie dzisiaj istnieje miasto Biała, znajdował się zbudowany z drewnianych bali gródek. Okolica ta była słabo zaludniona, to i gródek był niewielki, a jego mieszkańcy nieliczni. Kraina stała otworem, toteż kto mocny, przychodził tutaj rabować, niszczyć i zabijać. Musiał więc rycerz władający gródkiem czuwać i bronić go, nie tylko od wrogów dalekich a mocnych, ale i pomniejszych rabusiów, którzy napadali na bezbronny lud i niszczyli jego dobytek.

Miał więc rycerz, kneziem wówczas zwany, drużynę nieliczną, lecz dzielną. Serce knezia było litościwe, toteż nie gnębił on, nie uciskał ludu biednego, a w czas pomoru lub innej klęski chronił go, dzieląc się również chlebem swoim. Pomagała mu w tym jego żona najmilsza, słoneczko jego życia. Była piękna nie tylko wdziękami swojego ciała, ale również dobrymi i litościwymi czynami. Kochali więc ją ludzie i Białą Panią nazywali, z powodu włosów jej jasnych.

Kochał ją też kneź dzielny. Niczego innego nie pragnął, jeno by onej gwiazdeczce życia jego dobrze było, by nigdy uśmiech nie schodził z jej twarzy, by zawsze była jasna i promienna. Tak jak i lud miejscowy, też ją od czasu do czasu Białą Panią nazywał. A kiedy mu rzekła kiedyś, cała w rumieńcach, że nie jest już sama, bo już dzieciątko poczęte, a on dla niej jest już nie tylko światłem całym, lecz i ojcem dziecięcia, to on ją porwał w ramiona, tulił i całował. A potem dopiero dziękował. Dziękował za to dzieciątko co już się poczęło i za niedługi czas miało przyjść na świat, aby stać się dla obojga nową radością. A potem powadzili się trochę, gdyż rycerz chciał, aby dziecina była tak jasna i promienna jak mama, ona zaś pragnęła dziecka o licach smagłych i ogorzałych, tak silnego i dzielnego jak ojciec. A że żadne ustąpić nie chciało, to dopiero nowe pocałunki i nowe pieszczoty ten spór małżeński zakończyły.

Wielkie było ich szczęście ... a i lud radował się tą wieścią. Poniektóre niewiasty, wiekiem i życiem doświadczone, wzięły ją w opiekę i dobrych rad nie szczędziły, czuwając nad swoją dobrą, jasną panią.

Ale oto zaczęły napływać trwożne wieści, że w okolicy pojawiła się banda jakowaś, jakaś zbójcka wataha, napadająca na spokojnych ludzi i grabiąca ich dobytek. Wszyscy spodziewali się najgorszego; napaści na gródek, rabunków i zniszczeń. Aby nie dopuścić wroga do gródka trzeba było uprzedzić jego zamiary. Postanowiono więc urządzić zasadzkę i wytępić bandytów co do nogi, aby nigdy już nie nękali pracowitego ludu tutejszego.



Rzekł więc rycerz do Białej Pani:

Miła ty moja! Ruszam z drużyną, by zniszczyć doszczętnie tę podstępna, okrutną bandę. A ty mnie ucałuj i żertwę (ofiara) złoż bogom, ażebym zdrowo do ciebie i naszej jasnej ślicznotki powrócił!

Idź mężu mój - rzekła Biała! Żertwę ja złożę, a ciebie dniem i nocą oczekiwać będę. Wróć zdrowy i silny! Wróć do mnie i do dzieciątka naszego.

Tydzień już upłynął, jak woje w gęstwinie leśnej zapadli. W gródku zapadła cisza, cisza wypełniona napięciem, niepokojem i oczekiwaniem. Niepokój zawładnął sercami żon, matek i córek. Lęk ścisnął również serce brzemiennej małżonki rycerza. Więc żertwę bogom złożyła, kolejną - bogatszą - obiecała, jeśli mąż jej zwycięsko powróci, by szczęście ich nowym blaskiem zajaśniało. Czekala więc Biała Pani, czekali wszyscy!

I oto po ośmiu dniach posłyszano odgłosy powracających wojów. Wrażą bandę rozbili, wracali więc jako zwycięzcy. Zabity herszt bandy już nigdy nie powiedzie swoich kompanów na rabunek. Wracali jednak wojowie bez wesołości należnej, gdyż w zmaganiach zbrojnych poległ ich kneź waleczny. Zwarł się on w śmiertelnych zapasach z przywódcą bandy, który był wielki i bardzo silny. Bił mieczem tak mocno, że wydawało się, iż jednym zamachem przepołowi walecznego rycerza. Ten jednak był tak rączy, że albo zręcznie od ciosu uchylał się, albo mieczem swoim cios przeciwnika tak odparowywał, że na bok szła główna siła jego uderzenia. Stanęli wszyscy walczący w bezruchu, podziwiając siłę jednego, a dzielność i zręczność drugiego. Aż jeden z wojów zawołał:

Kneziu! To za nasz gródek! To za naszą panią!

Kneź wiedział za kogo walczy. Ale okrzyk ten jakby mu sił przysporzył, jakby skrzydeł dodał. Zebrał się w sobie jeszcze bardziej, a widząc dogodny moment, kiedy zbój na nowo miecz podniósł, a tarcza jego cokolwiek uchyliła się, pchnął błyskawicznie swój miecz ostry w odkrytą pierś zbójce. Cios ten był straszny, śmiertelny, a krew wroga strumieniem wokół trysnęła. Zbój jednak resztką swoich sił miecz podniesiony skierował na pochylonego rycerza, uderzając nim w prawe ramię kneziowe, zanim ten zdążył swój miecz z jego ciała wyciągnąć. Również i krew rycerska popłynęła obficie, a dzielny kneź osunął się obok swojego zjadłego wroga. Padając zdołał jeszcze wyszeptać:

Mojaś ty... Biała... moja...

Uciekli zbójcy widząc martwego wodza swojego, a także czterech innych poległych kompanów. A woje otoczyli rannego knezia. Żył ci on jeszcze, ale rana była tak wielka, że krew prawie wszystka już zeń zeszła. Jeszcze usta coś szeptały, ale nikt tego ani zrozumieć, ani pojąć nie mógł. Woje więc co rychlej nosze sporządzili, knezia na nich położyli i pośpiesznie do gródka powracali, gdzie by ratunek godziwy mu dano. Niewiele drogi uszli, gdy ranny jakby sprężył się, po czym głowa mu zwisała bezwładnie. Tak zakończył swój żywot waleczny rycerz i dalej martwego już knezia nieśli do domu jego wierni wojowie.

A gdy ujrzała go ona - Biała Pani, martwego już i zimnego, to jeno okrzyk bólu wydała i padła bez ducha na ziemię. Rzuciły się jej na ratunek znajdujące się w pobliżu niewiasty. Przerażone jednak zauważyły, że do jednego nieszczęścia przybywa



kolejne: oto leżąca pani dzieciątko rodzić poczęła. Urodziła je co prawda, ale sama na drugi dzień w bezsile i spokojności wielkiej umarła. Widać do męża, do ukochanego nade wszystko, tak śpieszno jej było. A woje dwojgu im stos ofiarny przygotowali, i na nim, jak zwyczaj ojców nakazywał, spalili ciała tych dwojga, tak bardzo się miłujących. Smętny lament i płacz niewiast długo jeszcze rozbrzmiewał wśród nadrzecznych zarośli Krzny i na obrzeżach nieprzebytej wiekowej puszczy:

Oj łado, łado, nie-łado! Oj dolo, dolo - nie dolo!

A że długo jeszcze w pamięci tutejszego ludu żyła Biała, dobra Pani, to powoli również gródek, w którym mieszkali Białą zaczęli nazywać.

Poczęta w tragicznych okolicznościach dziecina mała, chudziutka była i słaba. Ale ją taką opieką i czułością niewiasty otoczyły, że choć kostucha kilka razy po maleństwo przychodziła, to nie oddały jej śmierci. Po prostu, zawzięły się i nie dały matęj. Smarowały ją różnymi maściami, okadzały, zaklinały najbardziej tajemniczymi zaklęciami, pilnowały jak oka w głowie, ofiary za jej zdrowie składały. I dopilnowały ... i uchroniły maleństwo. Powoli, bardzo powoli wzmacniała się, a z biegiem lat wyrosła na piękną dziewczynę. Była tak piękna jak jej matka, tylko nieco drobniejsza od niej. Cieszyli się więc mieszkańcy gródka, cieszyli się starzy i młodzi. A że podobna była do swojej matki, tedy ją Białką nazwali. Kiedy dorosła, a jej uroda w całej krasie zabłysła, to myśleli jedynie o tym, aby tylko męża godnego mieć mogła.



Aż zdarzyło się, że podróżował w tych stronach rycerz z północy, gdzieś z dalekiej litewskiej krainy. Jadąc po bezdrożach spotkał przypadkiem człowieka mizernego, który opowiedział rycerzowi o pięknej Białce, drobnej pani swojej. A mówił to z takim uwielbieniem, że młodzian ujrzeć ją koniecznie zapragnął. Kazał się też niezwłocznie prowadzić do Białki. Widząc ubogie szaty spotkanego wędrowca, kazał go rycerz odziać przystojnie, ażeby godnego mieć rajcę. Kiedy pod gródek zjechali rycerz kazał zatrąbić, aby oznajmić, że przyjaciel przybywa i jako przyjacielowi wrota bez obawy powinny być otwarte. Ujrzała ich wjeżdżających do gródka Białka i pomyślała, że dobry to musi być rycerz, skoro tak bardzo przystojnie przyodział jej poddanego. Spojrzała nań z ciekawością i zauważyła również, że jest wyjątkowo pięknym młodzieńcem. Wtedy jakoś żywiej zaczęło bić jej młode serce, poczuła, że wraz z tym nieznanym gościem spłynęło na nią jakieś inne, piękniejsze życie. A i on swoich oczu od niej oderwać nie mógł. Czuł, że dalej już nie pójdzie, że właśnie w tym niewielkim gródku znalazł kres swojej wędrówki.

I cóż było potem? Odbyły się uroczyste zrękowiny i huczne gody weselne. Młodzi początkowo mieszkali w gródku. Był on już jednak dość stary i wymagał znaczącej przebudowy, do której wkrótce przystąpiono. Młodzi zamieszkali czasowo w niewielkim dworku, stojącym na wzgórzu, za niewielką rzeczka. Pięknie tam było i jasno, więc dworek ten, i okolicę najbliższą ludzie Białką nazwali.

Młody rycerz, który poślubił Białkę, przybył z północy, był więc może przodkiem Mendoga lub Gedymina. A może ojcem Budrysa, który doskonale wiedział, że Laszki to żony najpiękniejsze i najwierniejsze.

Oprac.

ks. Roman Soszyński

i Grzegorz Michałowski

Franciszek Jerzy Stefaniuk

(Drelów)

Moje Podlasie

Moje podlasie kolebka przeżyła
Gdzieś mowy się uczył - modlitwy zdrowaś
tu matka do piersi mnie przytuliła
a ojciec uczył jak Polskę szanować

Moje podlasie to wieś rodzinna
pięciowiekowym bogata stażem
ta najpiękniejsza zielona równina
lasami poczęta i ojców cmentarzem

Moje podlasie to ziemia ojczysta
dywanem łąkowym i polnym pokryta
lasami pachnąca powietrzem czysta
i mgłą poranka misternie spowita

Łanami zboża złotego w czas żniwny
z kłosami w pokłonie tym co je uprawia
a duszę ogarnia urok przedziwny
na anioł pański dzwon dźwięcznie pozdrawia

Moje podlasie to śpiew skowronka
i chóry poranne modlitwy ptasie
chabry na polu kaczeńce na łąkach
i malwy jak panny przystojne w swej krasie

Moje podlasie to stara szkoła
co ogień okrutny ściany jej strawił
wspomnień z pamięci czas zatrzeć nie zdoła
Jam wyniósł z niej wiedzę a duszę zostawił

Moje podlasie to lud pracowity
na ojcowizny schylony zagonach
z czołem bruzdami troski pokryty
chleb matce ziemi dobywa z łona

On gestem serdecznym pod dach Cię zaprosi
unosząc w nadziei swe chleby święte
czem chata bogata z serca ugości
zwyczajem ojców w tradycji przyjętym

Moje podlasie historią słynie
unitów cierpieniem za polskie pacierze
tym co w Drełowie i Pratulinie
życie swe dali by wzmocnić nas w wierze

Moje podlasie pielgrzymów śladem
za głosem duszy zmęczonej tęsknej
utartym ojców wciąż drogowskazem
do stóp najświętszej Leśniańskiej, Kodeńskiej

Do Ciebie podlasie myśli swe zwrócę
gdy losy Ojczyzny mnie hen poprowadzą
do Ciebie ziemi ojców powrócę
Ja Ciebie podlasie nigdy nie zdradzę

Ziemio Ojczysta Ty niepojęta
Bugiem i Krzyny żyłami złączona
spłakana łzami krwią synów święta
sercem Twych dzieci bądź pozdrowiona.

Henryk J. Kozak

(Lublin)

Bądźcie pewni

wczoraj rozmawiałem z Bogiem

jest mężczyzną w sile wieku
i przystępnym
w przeciwieństwie do jego starych i łysych sekretarzy

ci bez przerwy mnie strofowali
poruszali tylko zasadnicze kwestie
nie narzekaj
bo On nie czuje się najlepiej
cierpi jeśli ktoś mu wypomina
nieszczęścia i biedę
ma czterdzieści pięć miliardów lat
i niezliczoną ilość
problemów do rozwikłania
choćby dylemat
gdzie w przyszłości ulokować Ziemię
pod warunkiem że
zasłużą na przeniesienie

wiedział wszystko
kto zabił Bartosza Sęczka z Zalesia
okradł babcię Michalinę w środowe południe
w maju pięćdziesiątego siódmego roku
na targu przy ulicy Janowskiej
gdy kupowała kurę
na rosół dla wnuków
i gminę w Sworach
w czasie krótkiej lipcowej nocy
i dlatego przez cały wczorajszy wieczór
bardzo płakała Tomaszewicz Maria

i dlaczego się powiesił
sąsiad sołtysa Franka
kto zabił bezdomnego kota
porzucił małego Adasia
żebrakowi podarował grosik
który z polityków sprowadzi na nas nędzę
i wywoła najstraszliwszą w dziejach wojnę
odprowadził mnie w południe
sitnickim gościńcem
aż za las
i sad Sidoruków
na piaszczysty pagórek obsadzony
wysmukłymi tujami

tam nieoczekiwanie
przyznał się że i jemu
zdarzają się pomyłki

to dlatego
nie dał szansy Markowi
nie wybaczył Lidii
nie dostrzegł w porę małej Justysi
a zimą zapomniał o mnie
i o staruszce z podlubelskiej wsi

nic się jednak przed nim nie ukryje
bądźcie pewni

ukarże niegodne
i myśli i czyny

nagrodzi miłosierne i zacne

Ballada osiedlowa na koniec wieku

jest jak jest i raczej
nie ma się czym chwalić
dni jak obłoki pierzchają
coraz trudniej
za nimi nadążyć

ale Heńkowi z siódmego
jest jeszcze gorzej
nic nie spełniło się z jego marzeń

psa nawet nie ma

i pije
do świtu pije z księżycem
i śpiewa
tęskne piosenki
że czekała
że z miłości umarła
że kiedy był w świecie
pokochał pewną Irlandkę
lecz głupi
niepotrzebnie wrócił
na to żytne zgrzebne Podlasie
że król za ścianą
noc w noc z rozpaczą
bije swoją księżniczkę
i wyje
o zmarnowanej młodości

jest jak jest lata
spalają się jak na ściernisku słoma
a ludzie
jak zetlałe zapalki

Nic z nas

do rana czytałem Broniewskiego Mazowsze Przypyw
i inne wiersze o rozpacz
piłem dark whisky tęskniłem
nie wiedząc do kogo
dlaczego i za czym
wspominałem miejsca w których kiedyś byłem
szczęśliwy lub przypadkiem
Nowy Jork i Kazimierz Sitnik
Włodawę i Jerozolimę
chodziłem po Madrycie i Prado
piłem kawę z Augustynem
w naddunajskiej kawiarni w Belgradzie
a po północy
przenieśliśmy się na Manhattan
do Podlasianki

to stąd dwa razy zadzwoniłem do Marii
i dwa razy usłyszałem
że jest jej przykro ale
pokochać mnie już nie potrafi
potem długo klóciłem się z kimś w lustrze
bo upierał się że jest tu celowo
i na zawsze

wreszcie rozplakałem się
o szóstej
gdy rozdzwoniły się parafialne dzwony
triumfalnie jak co dzień

a może załkały

cóż przemijamy i przeminiemy dzisiaj
jest już mnie mniej
niż wczoraj
i wkrótce psiakrew zostaniemy
ledwie zapisem w metrykalnej księdze
wywiozą nas w pole za miasto
a tam cisza śmiertelna
i pusta
ni skowronka
ni zająca

i zamieszkamy w korzeniach
świerków i trześni
bo nic z nas nie nadaje się do sklonowania
urodzeni za wcześnie
z bagażem niepotrzebnych doświadczeń
cali jesteśmy wadliwi genetycznie

Droga

szczęśliwie ocalała droga lecz
nikogo już na niej nie spotkasz
najwyżej żabę lub zagubionego
w betonowym przepuście piźmowca
i jest tak jakby nigdy
nie było wioski

sołtysa Janka
Władka co miał kuźnię pod lasem
przeklętej Barbarki kochliwej Marianny
Wincenty która rozmawiała z Bogiem
głupawego Henryka harmonisty
co grywał za pół litra samogonki
na chłopskich weselach
a w soboty
po robocie
przed sklepikiem grubego Frania
lub w strażackiej remizie

to w niej upiłem się po raz pierwszy
a w następne wakacje spotkałem dziewczynę
są noce kiedy nie mogę zasnąć
nie wypowiedziałem jej imienia

ocalał też drewniany Chrystus
zaraz za ruinami szkoły
stoi na kamiennym postumencie
z rozpostartymi ramionami
o zmierzchu kiedy mgła z łąk wylewa się na drogę
wydaje się że idzie do wsi
na pogawędkę z chłopami

Bartoszem co kopał groby
na przykościelnym cmentarzu
zganić kuternogę Mańka
co bił swoją śliczną żonę
pocieszyć Józka który się powiesił
bo mu się zdawało
że nigdy pić nie przestanie
i nigdy
stąd nie wyjedzie

i został na zawsze pod cmentarnym murem
daleko od swoich obok
partyzanta Ruska którego zastrzelili Niemcy
zaśpiewać z Tereską godzinki i weselne śpiewki
w remizie z Wandą zatańczyć
walczyka i namiętne tango

ocalała tylko droga cała
w zmarszczkach głębokich kolein
wypełnionych żelazistą mazią
jak wyrzut sumienia jak rana

*W VI Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Wacława Olszewskiego,
który podsumowany został w czerwcu 1999 r. w Belchatowie,
pierwsze miejsce zdobył Henryk Kozak z Lublina
(ur. w Sitniku k. Białej Podl.). Prezentujemy naszym Czytelnikom wiersze,
które spotkały się z najwyższą oceną jury konkursowego.
Warto zauważyć, że twórczość tego coraz bardziej cenionego poety
zawiera wiele motywów podlaskich.*

Gratulujemy
Redakcja

"Sztukę tworzą artyści ..."

Rozmowa z Mieczysławem Skalimowskim,
kierownikiem artystycznym Galerii Podlaskiej (Biała Podlaska)

Grzegorz Michałowski: Galerię, jako miejsce prezentacji sztuki współczesnej w Białej Podlaskiej, utworzono w 1983 r. Jakie były dalsze losy tej placówki?

Mieczysław Skalimowski: We wszystkich ówczesnych województwach, również tzw. młodych, pojawiły się Biura Wystaw Artystycznych. Powstało więc BWA również w Białej Podlaskiej. Placówka ta zajmowała się głównie promocją sztuki współczesnej. Po dziesięciu latach Biuro Wystaw Artystycznych rozwiązano, a cały jego majątek - łącznie z ludźmi - połączono z istniejącym "na papierze" Ośrodkiem Pracy Twórczej w Roskoszy. W ten sposób powstał Ośrodek Pracy Twórczej Galeria Podlaska. Jak widać nazwa zmieniła się, pozostała natomiast niezmienna funkcja i zadania związane z upowszechnianiem sztuki współczesnej. Pracuję w Galerii już pięć lat, a więc od czasu, kiedy przybrała ona nowy kształt organizacyjny.

G.M.: Podejmując pracę w Galerii Podlaskiej miałeś za sobą już pewne doświadczenie w upowszechnianiu sztuki?

M.S.: Tak, początkowo pracowałem jako nauczyciel wychowania plastycznego w Liceum Ogólnokształcącym im. J.I. Kraszewskiego. Widocznie jednak moje oddziaływanie na młodzież nie było "najlepsze", skoro funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa sprawili, że w 1983 r. musiałem zmienić swoje miejsce pracy. Zatrudniłem się wtedy w Wojewódzkim Domu Kultury, gdzie zajmowałem się organizacją różnego rodzaju wystaw, spotkań artystycznych i plenerów malarskich. Cały czas bacznie obserwowałem życie artystyczne w mieście, analizowałem stosowane metody upowszechnieniowe, szukałem sposobów aktywniejszego oddziaływania sztuki na miejscowe środowisko społeczne. Nie myślałem wtedy, że kielkujące we mnie pomysły programowe będę mógł wkrótce realizować w praktyce.

G.M.: I cóż z tych pomysłów udało ci się przenieść do pracy w Galerii Podlaskiej?

M.S.: To co najistotniejsze, to prezentacja na naszym białskim (białkopodlaskim) gruncie nowych, dotychczas tutaj nieznanych form artystycznych. Dla przykładu wymienię chociażby: instalacje, performance. Realizacja tych przedsięwzięć możliwa

była dzięki życzliwemu wsparciu ówczesnego dyrektora Ośrodka Pracy Twórczej Galeria Podlaska Jacka Spisackiego.

G.M.: Jeszcze dzisiaj bialscy sympatycy sztuki pamiętają niezwykle "Park Sztuki", w który na kilka dni przekształciliście "Park Radziwiłłowski"!

M.S.: To było naprawdę duże przedsięwzięcie. Zaprośiliśmy kilku uznanych artystów z Polski, którzy zrealizowali swoje oryginalne "interwencje" artystyczne w przestrzeni bialskiego parku. Iga Brej-Kozon ustawiła m.in. olbrzymie stoły, przykryte białymi płótnami, na których umieszczono chleb, wodę i zboże ... dla naszych bialskich wron! Pamiętam, że akurat podczas prezentowania instalacji "Park Sztuki" przez kilka dni okropnie padało.

G.M.: Jak udało się zaprosić, a raczej ściągnąć do Białej, tak wielu uznanych i cenionych artystów?... jak chociażby J. Bałdyga, Zb. Warpechowski, P. Althamer ...?

M.S.: W tym przypadku każda amatorszczyzna to działanie na krótką metę. Trzeba było działać profesjonalnie, aby uzyskać - jako organizatorzy - zaufanie w różnych środowiskach artystycznych kraju. A składa się na to wiele elementów, jak chociażby dotrzymywanie terminów, rzetelne traktowanie wzajemnych uzgodnień. Co nie mniej istotne, otaczaliśmy zawsze naszych gości szczególną podlaską życzliwością. Widać było to tak szczerze, że wieści o tym zaczęły krążyć po kraju. Bardzo ważnym krokiem było nawiązanie ścisłych kontaktów z Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie. Pracownicy Galerii bywali już w wielu salonach wystawienniczych, gdzie zawsze skrupulatnie podglądali "jak to robią inni".

G.M.: Już po raz kolejny na plenerach malarskich organizowanych przez Galerię Podlaską pojawiają się obco brzmiące nazwiska. Czyżby "firma" zyskiwała rangę międzynarodową?

M.S.: Zaczęło się przed kilku laty, od wizyty Duńczyków na jednym z plenerów. Później wzajemnie wymienialiśmy się wystawami ... i tak zaczęło się. W 1997 r. zostałem zaproszony na plener malarski na Białorusi, gdzie poznałem również artystów litewskich. Dzięki tym znajomościom udało się wkrótce urządzić w Wilnie wystawę jednego z bialskich artystów, a Litwinów zaprosić na plener do Jabłecznej. Kontakty te przyczyniły się do tego, że Galeria Podlaska stała się znana nie tylko na Podlasiu. W 1999 r., w plenerze "Moment Duchowy" uczestniczyło dwóch Duńczyków, dwóch Litwinów i dwóch Białorusinów.

G.M.: Wiem, że Galeria Podlaska uczestniczy w przedsięwzięciach nastawionych na twórcze środowiska polonijne. Czy przewidziana jest druga edycja Warsztatów Plastycznych "Polonia 2000"?

OŚRODEK PRACY TWÓRCZEJ GALERIA PODLASKA
w Białej Podlaskiej

DZIAŁANIA

PLAC SZTUKI

12-13 września 1998 r.
na Placu Wolności

Uczestnicy: Piotr C. Kowalski (Poznań) • Lukasz Glowacki (Poniatowa)
Teodor Sochacki (Warszawa) • Cezary Bodzianowski (Łódź) • Mieczysław
Skolimowski (Biała Podlaska) • Grzegorz Burkowski (Warszawa) • Adam
Korszun (Biała Podlaska)

M.S.: Poprzednie warsztaty udało się nam zorganizować przy pomocy sponsorów, głównie dzięki dotacji "Wspólnoty Polskiej". W plenarze uczestniczyli młodzi plastycy z Podlasia oraz ich rówieśnicy polonijni z Litwy, Białorusi i Ukrainy. Chciałbym, aby w 2000 r. Warsztaty Plastyczne zostały powtórzone, pomimo tego, że sytuacja finansowa Galerii Podlaskiej jest obecnie trudniejsza niż dawniej. Sądję, że uda się przekonać miejskie władze samorządowe oraz sponsorów do idei wspólnych spotkań młodych Polaków zza wschodniej granicy.

G.M.: Do kogo kierujecie swoje idee i pomysły artystyczne? Z jakim środowiskiem czujecie się najbardziej związani?

M.S.: Sztuka jest dla wszystkich, bez względu na wiek i wykonywa-

ny zawód ... i takich też mamy odbiorców. Nasze obserwacje pozwalają jednak stwierdzić, że za "klamkę do drzwi wejściowych" Galerii Podlaskiej najczęściej chwyta młodzież w wieku licealnym. Dzięki nieprzerwanemu, kilkunastoletniemu funkcjonowaniu instytucji upowszechniającej sztukę, ukształtowała się znaczna grupa stałych bywalców Galerii. Wielu z nich to ci, którzy po raz pierwszy zostali tutaj "przyprawdzeni" przez nauczycieli. Każdy, nawet mały człowiek, jest u nas mile widziany. Wierzę, że jeśli teraz o nas "zawadzi", to również za kilka lat nie ominie Galerii. Podczas tegorocznego Dnia Dziecka maluchy lepiły gliniane stworki i cudaki, a my częstowaliśmy ich słodyczami.

G.M.: Swoje prace w Galerii Podlaskiej prezentują przede wszystkim profesjonaliści. Czy dostrzegacie również debiutantów i amatorów?

M.S.: Nastawiliśmy się głównie na profesjonalistów, od zasady tej robimy jednak wyjątki. W górnym, mniejszym pomieszczeniu Galerii, staramy się pokazywać twórczość interesujących tworzących amatorów, debiutantów, a także dzieci i młodzież. Oprócz wystaw artystycznych urządzamy też mini-koncerty muzyczne, wieczory poetyckie, spotkania towarzyskie itp. W Wigilię Bożego Narodzenia - w 1998 roku - zorganizowaliśmy spotkanie różnych środowisk twórczych: poetów, muzyków i plas-

tyków. Podstawową jednak formą naszej działalności pozostają wystawy artystów profesjonalnych.

G.M.: Miejscowe środowisko plastyczne liczy kilkanaście osób. Czy może ono liczyć na wsparcie ze strony Galerii Podlaskiej?

M.S.: Uważam, że Galeria powinna być zainteresowana twórczością poszczególnych artystów, a nie jakiegoś nieokreślonego środowiska. Każdy z nich, jeśli tylko chce i jest gotów, może "zrobić" u nas swoją wystawę. Wszyscy AKTYWNI TWÓRCZO miejscowi plastycy mieli w ostatnich latach swoje indywidualne prezentacje, wzbogacone zwykle kolorowym katalogiem. Prace białskich artystów wystawiane też były w głębi kraju oraz w Danii, na Białorusi, we Francji i na Litwie. Również w naszych zbiorach znajduje się wiele ich obrazów, które nabywaliśmy w ostatnich latach. Jest to również jakaś forma wsparcia dla tworzącego artysty, tym razem wsparcia finansowego.

G.M.: Jeśli już jesteśmy przy finansach. Czy taka placówka kultury jak Galeria Podlaska może samofinansować się?

M.S.: Nie zostaliśmy powołani do istnienia jako galeria

Mieczysław Skolimowski *Przystanek dla wystadających* • *Get off bus stop*



komercyjna i dlatego nie zamierzamy prezentować sztuki, która schlebiałaby masowym gustom. Tylko sztuka komercyjna jest obecnie w stanie sama utrzymać się (czytaj: sprzedawać), bez wsparcia finansowego ze strony państwa lub samorządów. My proponujemy głównie sztukę "nową", nieokreśloną, poszukującą, skłaniającą do głębszych refleksji. Nie ma sensu wydawania społecznych pieniędzy na takie chociażby motywy, jak "wazon z kwiatami" czy "brzoza nad wodą". Nie oznacza to jednak, że pieniądze podatników można wydatkować bez uwzględniania społecznej oceny prowadzonej działalności. Na szczęście Galeria Podlaska nie świeci pustkami, a nasi odbiorcy - poprzez wyrażanie pozytywnych opinii - dają nam wiele satysfakcji.

G.M.: Wiem, że aktywnie zabiegasz o indywidualnych sponsorów, wspierających wystawienniczą, i nie tylko wystawienniczą, działalność Galerii. Czy starania te przynoszą jakieś konkretne efekty?

M.S.: Istniejące ograniczenia finansowe zmuszają nas do poszukiwania wsparcia ze strony sponsorów. Na szczęście są już w Białej Podlaskiej ludzie biznesu, powie-działbym nowocześni biznesmeni z klasą, którzy rozumieją potrzebę wspierania kultury. W ostatnim okresie sumy różnej wysokości przekazały nam następujące firmy: Biasov, Vikking, PZMot., Dombud, Hotel "Capitol", Studio Fotograficzne "Fotos", Pierwszy Bank Komercyjny, Norwich Union, Biuro Turystyki i Reklamy "Piechocka". Kilkakrotnie wspierali naszą działalność swoimi dotacjami Prezydent Białej Podlaskiej i Starosta Bialski. Korzystając z okazji, chciałbym wszystkim im serdecznie podziękować.

G.M.: W ostatnim okresie Galeria przestała być placówką państwową: w wyniku reform administracyjnych podporządkowano ją miejscowym władzom samorządowym. Czy zmiana ta wpłynęła korzystnie na jej działalność?

M.S.: Trudno powiedzieć w tej chwili, gdyż funkcjonujemy w nowej rzeczywistości dopiero kilka miesięcy (rozm. przepr. we wrześniu). Mam nadzieję, że wśród radnych i w Zarządzie Miasta znajdzie się wielu, którzy uznają, że istnienie profesjonalnej galerii w sześćdziesięciotysięcznym mieście jest potrzebne. Mam nadzieję ...

G.M.: Ja ... również. Dziękuję za rozmowę.

Teresa Jarmoszewicz

(Sławatycze)

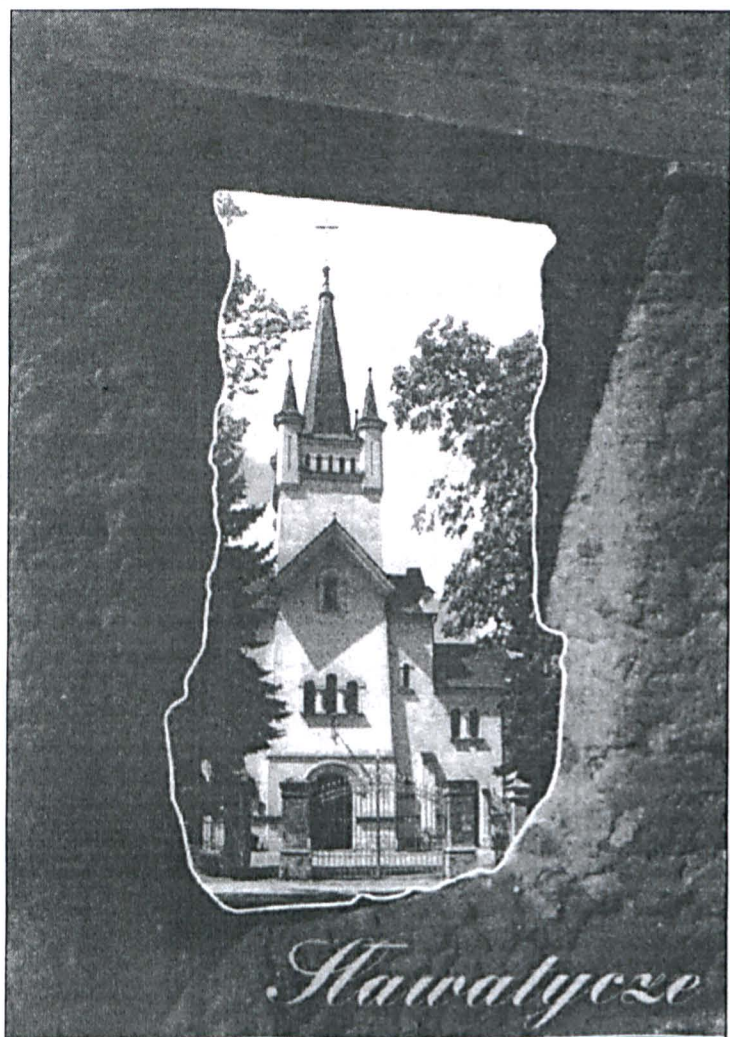
Jubileusz 500-lecia Sławatycz

Sławatycze, malowniczo położona niewielka nadbużańska osada, w dniach 16 - 18 lipca 1999 roku obchodziły jubileusz 500-lecia swojego istnienia. Podniosłe uroczystości odbyły się pod honorowym patronatem wicemarszałka Sejmu Franciszka Stefaniuka.

Przygotowania do tego niezwykle wydarzenia trwały od kilku miesięcy. Powołany został m.in. Honorowy Komitet Obchodów 500-lecia, w składzie którego znaleźli się: Dariusz Trybuchowicz - przewodniczący, Józef Chomiczewski - z-ca przewodniczącego, Bolesław Szulej - sekretarz, Ewa Lorenc - skarbnik oraz Ludwika Wąsowska, Ryszard Kuryluk, Zofia Chomiczewska, Maria Hasiuk, Teresa Jarmoszewicz, Artur Gruza, Andrzej Kadłubowski, Eugenia Kaliszuk, Teresa Kuniewicz, Józef Kuźma, ks. Stanisław Małek, Andrzej Parczewski, Władysław Sawoniuk, Franciszek Skalski, Krystyna Szolucha, Józef Szczur, Zbigniew Szolucha,



Wójt Gminy
Dariusz Trybuchowicz
w gronie zaproszonych
gości



Fot. Tadeusz Żaczek

Barbara Trybuchowicz i Jan Wasilewski. Komitet wielokrotnie zbierał się, pracując początkowo nad całościowym programem uroczystości, później zaś nad sprawnym jego wdrożeniem. Atrakcji miało nie zabraknąć, i tak też było.

W pierwszym dniu obchodów jubileuszowych odbyły się zawody wędkarskie na zbiorniku wodnym "Słodownia". Uczestnicy walczyli o "Puchar Wójta Gminy", mogli też podziwiać - zwłaszcza ci przyjezdni - uroki unikalnego nadbużańskiego krajobrazu. Drugiego dnia, w godzinach rannych, odbyła się okolicznościowa sesja Rady Gminy Sławatycze, którą prowadził przewodniczący Rady Józef Chomiczewski. Uczestniczyło w niej wielu znamienitych gości, a m.in. wicemarszałek Sejmu RP

Franciszek Jerzy Stefaniuk, poseł Lech Nikolski, wicewojewoda lubelski Adam Wilczewski, wiceprzewodniczący Sejmiku Województwa Lubelskiego Henryk Makarewicz, starosta bialski Tadeusz Łazowski, wiceprzewodniczący Związku Krajowego Gmin Wiejskich Krzysztof Iwaniuk i wójt Domaczewa (Białoruś) Leonid Tarasiewicz. Na sesji zaprezentowana została książka Grzegorza Michałowskiego i Teresy Jarmoszewicz pt. "Sławatycze 1499 - 1999", którą opracowano i wydano w rekordowo krótkim okresie dwóch miesięcy. Mimo tego, że Sławatycze liczą już pięć wieków, ich historia nie była nigdy utrwalona w zwartych wydawnictwach książkowych czy też artykułach popularnonaukowych lub naukowych. Prezentując na sesji okolicznościowe wydawnictwo Grzegorz Michałowski podkreślił duże zaangażowanie władz lokalnych w realizację tej inicjatywy, zachęcał też do kontynuacji działań związanych z utrwalaniem wiedzy o Sławatyczach i najbliższej okolicy. Tak, jak to zostało w przedmowie napisane: "budynki znikają, ludzie odchodzą, o imprezach i rocznicach zapomina się, natomiast książka trwa w czasie, zarówno teraźniejszym, jak i przyszłym".

Cóż można powiedzieć o historii Sławatycz? Pierwsza wzmianka o ich istnieniu pochodzi z końca XV wieku (1499 r.). Wówczas to Wielki Książę Litewski Aleksander Jagiellończyk podarował tę majątność swojemu dworzaninowi Ursułowi Wołoszynowi. Ten z kolei, nie mając potomstwa, zapisał Sławatycze w testamencie (1529 r.) Bohuszowi Bohowitynowi. W rok później miejscowość należała już do książąt Sanguszków, a od 1546 r. do książąt Prońskich, którzy przyczynili się do nadania jej praw miejskich. Niemal trzysta lat były Sławatycze niezmiennie miastem, zmieniali się tylko właściciele. A byli nimi: Leszczyńscy, Radziwiłłowie, książęta Wittgenstein i Hohenlohe. Wpływali oni na rozwój tego nadbużańskiego miasteczka, a także sąsiednich pomniejszych miejscowości.

Swoją rolę w rozwoju Sławatycz miała również otaczająca przyroda, zwłaszcza potężna i dość kapryśna rzeka Bug. Zdarzały się tutaj swojego rodzaju lokalne kataklizmy, kiedy rwący nurt decydował, po której stronie brzegu powinni mieszkać ludzie. Dowodem na to jest dokument o nazwie "Zaśalenie wójta i rady miejskiej Sławatycz", znajdujący się w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie. Czytamy tam m.in. "Rzeka Bug w przestrzeni i gruntach Miasta Sławatycze ... w roku 1821, w czasie wylewu wód, zmieniła swoje koryto ... Nurt otworzył nowe koryto w miejscu ... rowem natenczas zwanym ... Stare koryto zamulone do tego stopnia, że w następnym roku wyschło całkowicie. Rzeka przesunęła się ... więcej jak na milę wzdłuż i na wiorstę wszerz ... zaczawszy od wsi Kuzawka, aż do Monasteru Jabłeczkańskiego". Przesunęła się w związku z tym wewnętrzna granica pomiędzy Królestwem Polskim a Cesarstwem Rosyjskim. Kolonia Neydorf (obecnie Mościce) i wieś Nowosiółki zostały w przeciągu kilku tygodni "przestawione" ze wschodniego na zachodni brzeg Bugu.

Po 1863 r. w Królestwie Polskim nastąpiło wyraźne zaostrenie kursu represyjnego, prowadzonego przez władze zaborcze wobec społeczeństwa polskiego. Jednym z przejawów tych działań była akcja mająca na celu cofnięcie praw miejskich dla wielu pomniejszych miasteczek. Dotknęło to również Sławatycz. Tak też pozostaje do dnia dzisiejszego. Czy Sławatycze zdołają jeszcze odzyskać prawa

miejskie? Nie wiadomo. Jedno jest pewne, mieszkańcy tej miejscowości nadal czują się mieszczanami i są z tego bardzo dumni.

Zaprezentowana podczas jubileuszu publikacja stanowi pierwszą próbę całościowej monografii Sławatycz. Z pewnością nie wyczerpuje ona wszystkich tematów i zagadnień, które wiązały się z dziejami tej miejscowości. Sądzę, że rok jubileuszowy może być doskonałą okazją do podjęcia dalszych przedsięwzięć, zmierzających do coraz pełniejszego odkrywania swojej "małej Ojczyzny". Tworząc nowe publikacje, "nowe księgi", można będzie zrealizować to, czego nie dokonali nasi poprzednicy. Powstałe opracowania będą służyć zarówno obecnemu, jak i przyszłemu pokoleniom.

Księgo, tyś źródłem, z którego wytryska
Strumień człowieczej nieśmiertelnej myśli.
Czas przez ruiny idzie i zwaliska,
Lecz twego trwania nigdy nie przekreśli.
Bowiem się z ducha wiedzie twa potęga-
Mijają ludzie, pozostaje księga.

(Henryk Zbierzchowski)

Należy sądzić, że zawiązane w czerwcu 1999 r. towarzystwo regionalne pn. Stowarzyszenie Rozwoju Gminy Sławatycz sprzyjać będzie wszelkim wartościowym przedsięwzięciom wydawniczym i kulturalno-oświatowym, wspierać je organizacyjnie i materialnie. Aktywność członków towarzystwa, na różnych polach i płaszczyznach działania, może przynieść wiele wymiernych korzyści dla całej tutejszej społeczności.

Podczas uroczystej sesji wiele miłych gestów okazali zaproszeni goście. Płaskorzeźbę z wizerunkiem Matki Boskiej Kodeńskiej, w którą wkomponowany jest herb Sławatycz, przekazał na ręce wójta gminy Tadeusz Gryciuk ze Świdnika. Jest on jednocześnie twórcą unikalnej, misternie wykonanej płaskorzeźby. Urodzony w Sławatyczach, tutaj też mieszkający przez szereg lat, nadal związany jest emocjonalnie ze swoją "nadbuząską ziemią najbliższą". Ciekawe informacje przedstawił zebrany Zbigniew Żurek z Białej Podlaskiej, którego rodowód wywodzi się z dawnych osadników holenderskich, zwanych tutaj "olędrami". Przekazał on Gminnej Bibliotece Publicznej w Sławatyczach kserokopie dokumentów, poświadczających wielonarodowościową przeszłość tej ziemi. Nie zabrakło też ciepłych słów ze strony najbliższego sąsiada, białoruskiego gościa, wójta gminy Domaczewo. Leonid Tarasiewicz ze swadą powiedział:

Rozdziela nas tylko Bug. Mam nadzieję, że przyjdą czasy, kiedy będziemy chodzili do siebie, jak kiedyś. Co by nie działo się "na górze", powinniśmy żyć jak dobrzy sąsiedzi. Po zakończeniu oficjalnych wystąpień wójt Dariusz Trybuchowicz wręczył członkom Honorowego Komitetu Obchodów Jubileuszu, radnym i zaproszonym gościom pamiątki jubileuszowe, w tym okolicznościowy medal. Na zakończenie wystąpił zespół folklorystyczny z Dołhobród.

Ważnym akcentem drugiego dnia obchodów jubileuszu było nabożeństwo dziękczynne w miejscowej cerkwi. Celebrował je prawosławny biskup lubelsko-

chelmski Abel, który m.in. udekorował Dariusza Trybuchowicza Orderem Równiej Apostołów Marii Magdaleny. To wysokie odznaczenie zostało przyznane wójtowi przez synod biskupów Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, "za dobrą współpracę gminy z Monasterem w Jabłecznej, w duchu ekumenizmu". W godzinach wieczornych odbyło się na cmentarzu katolickim nabożeństwo za zmarłych przodków.

Trzeci dzień obchodów 500-lecia Sławatycz rozpoczął się Mszą świętą w kościele katolickim pw. Matki Boskiej Różańcowej (w intencji mieszkańców Sławatycz i zaproszonych gości). Podczas uroczystej procesji wręczano dary, takie m.in. jak: chleb, wino, sękacz, relikwiarz, świecę, kwiaty, ornat oraz pamiątki jubileuszowe. Do wszystkich darów dołączone były specjalne komentarze przygotowane przez Innocentę Wit, nauczycielkę katechezy w tutejszej szkole podstawowej. Pozwolę sobie zacytować przynajmniej jeden z nich:

Przynieśliśmy tu dziś różne pamiątki jubileuszowe, które pragniemy złożyć w darze na Twym ołtarzu. W ten sposób wyrażamy Ci Boże naszą wdzięczność za łaskę jubileuszu 500-lecia naszej miejscowości. Powierzamy ci także naszą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, nasze rozczarowania, niespełnione oczekiwania, nadzieje i zaufanie. Pomóż Panie odbudować to, co zniszczyliśmy, naprawić błędy ... i błogosław, błogosław nowym, dobrym przedsięwzięciom.

Oficjalnym uroczystościom towarzyszył bogaty blok imprez rekreacyjno-sportowych i rozrywkowych, prowadzonych m.in. przez Małgorzatę Siennicką. Na miejscowym stadionie występowały liczne zespoły folklorystyczne z Białorusi i Ukrainy, grupy śpiewacze z Dołhobród i Krzywówłki, Zespół Tańca Ludowego "Białwena", kapela podwórkowa "Taaka Paka", zespoły taneczne "Flesz", "Puls", "Tabu" i "Passat" oraz "Gang Marcela". Jubileusz uświetniony został również koncertem Janusza Pruniewicza (pochodzącego ze Sławatycz) oraz Elżbiety Gruszkowskiej - wraz z jej zespołem. Konkursy i turnieje rekreacyjno-sportowe doskonale bawiły licznie zebraną publiczność (przeciąganie liny, siłowanie "na rękę", konkurs wiedzy o (Sławatyczach). Siatkarze zażarcie walczyli o puchar ufundowany przez wicemarszałka Sejmu RP Franciszka Stefaniuka, strażacy prezentowali swoje umiejętności gaśniczo-ratownicze, a miłośnicy starych motocykli krążyli wokół swoich wypucowanych weteranów. Cały czas czynny był kiermasz okolicznościowych pamiątek jubileuszowych, na którym autorzy książki o Sławatyczach - Teresa Jarmoszewicz i Grzegorz Michałowski - rozdawali swoje autografy.



Podczas uroczystości w kościele
(na pierwszym planie: Barbara
Trybuchowicz)



Autorzy książki o Sławatyczach
składają autografy

Miłośnicy tańca mogli wyżyć się do woli, gdyż zespoły "Puls", "Tabu" i "Passat" koncertowały do białego rana. Ich występy przeplatane były wieloma innymi atrakcjami, takimi chociażby, jak wybory Miss i Mistera 99 czy pokaz sztucznych ogni.

Owacje ze strony zebranej publiczności, na cześć organizatorów obchodów jubileuszowych, władz samorządowych i dyrektora Gminnego Ośrodka Kultury w Sławatyczach, były najlepszym podziękowaniem za wykonaną pracę. Podziękowania należą się również sławatyckiej młodzieży, która aktywnie uczestniczyła we wszystkich przedsięwzięciach. Obchody jubileuszowe 500-lecia na pewno pozostały w pamięci jego uczestników miłym, niepowtarzalnym wspomnie-

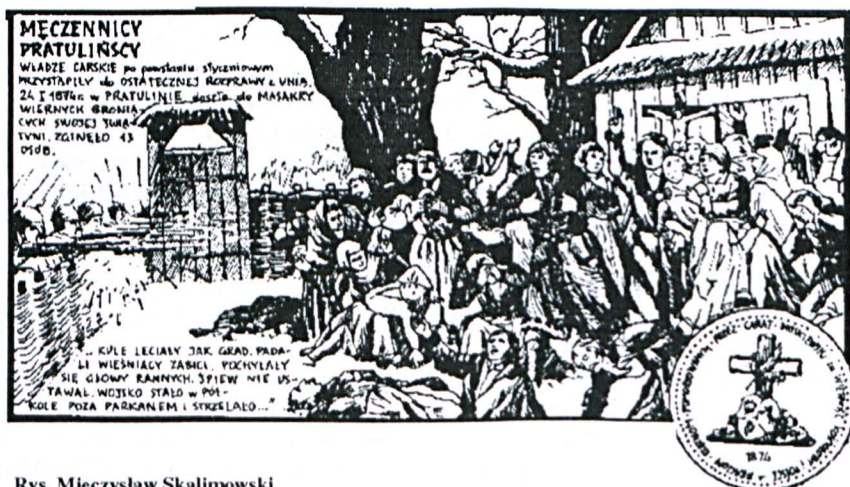
niem. A materialne ślady tego wydarzenia, to pocztówki krajoznawcze, medal jubileuszowy i książka "Sławatycze 1499-1999".

Wierni Bogu i Ojczyźnie. Opracował ks. Zdzisław Oziembło. Biała Podlaska, Ośrodek Wschodni - Katolickie Stowarzyszenie Cavitas Christiana, 1999, ss. 127, tab. 4.

Książka ta została wydana w roku wizyty papieża Jana Pawła II, który m.in. wyniósł na ołtarze Męczenników Pratulskich. Przynosi ona trojakiemu rodzaju wspomnienia mieszkańców południowego Podlasia: pamiątki byłych unitów, wspomnienia z I wojny światowej i wojny polsko - bolszewickiej 1920 roku oraz relacje z lat II wojny światowej. Są to opowiadania wielu ludzi. Do obszerniejszych należy zaliczyć wspomnienia Antoniego Maksymiuka z Terespoła oraz fragmenty życiorysu Stanisława Kraciuka z Zaczopek k. Pratulina, byłego żołnierza Armii Krajowej, a następnie Wojska Polskiego. Są to materiały dotychczas nie znane, a czyta się je wszystkie jak opowieści niemal sensacyjne. Mimo tej sensacyjności, tworzą one autentyczną historię ojczystą, tym cenniejszą, że odkrywaną z trudem, wydobywaną z pamięci zwykłych ludzi, którzy byli bezpośrednio uczestnikami wydarzeń lub też znają je z przekazów rodzinnych. Zebranie i opracowanie wspomnień zawdzięczamy ks. prałatowi Zdzisławowi Oziembło, byłemu długoletniemu proboszczowi w nadbużańskiej parafii Neple, historykowi z powołania. W jego biografii zapisane jest, że był uczestnikiem kampanii wrześniowej (Włodawa) oraz nauczycielem tajnego nauczania podczas II wojny światowej (w Węgrowie i w Siedlcach), za co został odznaczony medalem Komisji Edukacji Narodowej. Zachęcającą do lektury szatę graficzną książki zawdzięczamy redaktorowi tego wydawnictwa Szczepanowi St. Kalinowskiemu oraz drukarni "Intergraf" w Międzyrzeczu Podlaskim. Całość opracowania to doskonały przykład autentycznej literatury ludowej (chłopskiej). Lud polski jest tu i podmiotem, i przedmiotem.

W części gromadzącej wspomnienia byłych unitów, otrzymaliśmy relacje z wielu konkretnych wydarzeń historycznych, wiążących się z prześladowaniami za wiarę katolicką na Ziemi Podlaskiej. Wydarzenia te dobitnie świadczą o wielkim poczuciu godności osobistej Unitów, o ich odwadze, roztropności podczas sięgania po środki łaski sakramentalnej, umiejętności ratowania się w sytuacjach niebezpiecznych. Są również stwierdzenia dotyczące kapitulacji księży, oportunistów wiernych, ich ignorancji w sprawach własnej religii, informacje o uleganiu manipulacjom podejmowanym przez urzędników carskich i popów. Przeważyła zdecydowanie podziw dla męczeństwa za "swoją katolicyzm", za śmierć męczeńską, przelaną krew i cierpienia. W większości wspomnień zauważalna jest raczej walka Unitów z caratem i manipulowanym przez duchowieństwem prawosławnym, niż z kościołem prawosławnym, czy z władzami jako takimi. Na ogół uważali oni, że i car jest manipulowany przez funkcjonariuszy aparatu państwowego i oszukiwany przez różnego autoramentu karierowiczów. Zazwyczaj uchodzi to uwadze historyków. Jest to zauważalne już w pierwszym pamiątniku - Bronisławy Karmasz z Łęgow. Jej ojciec - Jan Michaluk jako 16-letni młodzieniec stał przy bł. Danielu Karmaszu, który zginął za wiarę 24.I.1874 r. w Pratulinie, wraz z pozostałymi 12. Towarzyszami. Mi-

chaluk był później pomysłodawcą listu do cara Mikołaja II, który w 1905 roku sprytnie mu wręczyła siostra stryjeczna, podczas pobytu w Leśnej Podlaskiej. Car po przeczytaniu skargi na prześladowców Unitów i prośby o zachowanie wolności wiary, powiedział: "Swoboda! Teraz kim chcesz, takim bądź! - Car widocznie nie wiedział co wyrabiali jego urzędnicy, nie był zły. Na słowa cara radość buchnęła z serc, powstał płacz nie do opisania..." - stwierdziła Bronisława Karmasz. Tak samo sądziła Jadwiga Amelia z Hausnerów Łubieńska, autorka pamiętnika "Podlaskie Gospodi pomyłuj". Któż jest w stanie sprawdzić słuszność tej opinii?



Rys. Mieczysław Skalmowski

Wspomnienia z lat I wojny światowej i wojny polsko - bolszewickiej 1920 r. posiadają znaczną wartość dokumentacyjną. Odzwierciedlony jest w nich obraz palonych wsi, dworów i kościołów, co czynili w sierpniu 1915 r. Moskale, cofający się pod naporem wojsk niemieckich.

Oto jak opisuje to Paweł Kaliszuk ze Starzynki: "Wojsko rosyjskie w sierpniu 1915 r. wyganiało wszystkich ze Starzynki, Nepli, Kuzawki, Krzyczewa, za Bug. Gнали nas Kozacy w dzień, a my nocą powracaliśmy... bardzo wielu na zgliszcza, bo Kozacy po naszym odjeździe domy palili. W Krzyczewie został tylko kościół, kuznia i stodoła, w Kuzawce tylko dwa domy, Neple i nasza wieś mniej ucierpiała". Julian Kowaluk z Kuzawki zrelacjonował, że Niemcy lubowali się w rabowaniu: zrabowali m.in. różnego rodzaju dobra ukryte w podziemiach dworu Dymśzów w Neplach (wywieźli je na dwunastu wozach). Ciężkie były losy ludzi wysiedlonych do Rosji, jak dowiadujemy się o tym ze wspomnień Tekli Kowaluk: część ludności na wezwanie prawosławnego duchownego z Nepli (Malerowa) - wyjechała za Bug, na wschód; on, z częścią wiernych pozostał w Rosławiu za Bobrujskiem; rodziny Kowa-

luków, Łozaków, Sacharuków, Burzyńskich i innych wywieziono pociągiem do Ufy, później pod Kazań do miejscowości Nabieżny Czałuj do ochrzczonych Tatarów. Ci ostatni pobrali wysiedlonych do swoich chat i odnosili się do nich z życzliwością, dzieląc się zapasami żywności zgromadzonymi na wypadek klęski suszy. W czasie rewolucji zapasy te zostały zniszczone lub skonfiskowane. W 1920 roku rejonu te dotknęła klęska suszy; ludzie uciekali przed nią na Sybir, ratowali się jedząc szczaw koński i chleb wypieczony z żółędzi zmieszany z bardzo gorzkimi ziarnami czeremchy. Niewykluczone było pojawienie się ludożerstwa. Kowalukowie, uciekając przed głodem, wyjechali 29.VI.1920 roku parokonnym wozem. Wszędzie po drodze oglądali tragiczne skutki klęski suszy, przede wszystkim straszliwy głód. Dopiero w Samboarskiej Guberni zdobyli chleb, chociaż zmieszany z liśćmi kapusty i ziemniakami. Zimowali pod Mińskiem. Jednego z koni sprzedali na żywność, a z drugim na wiosnę 1921 roku powrócili do Polski. Swoje przygody z tych lat opowiedział krótko Bronisław Bujalski: "W 1917 r., gdy byłem w Moskwie, wzięli mnie do carskiego wojska. Okazało się, że nie było ono carskie, a już komunistyczne. Kiedyś zaśpiewaliśmy "Boże cara chroń". Nas śpiewających odłączyli na lewo na rozstrzał. Śmierć zajaśniała w oczy, ale "zapiska" pomogła, puścili. Nie zapytałem wtedy co to była "zapiska". Czy to, że byli młodymi rekrutami, czy Polakami? - nie wiem. Przypód jeszcze niebezpieczniejszych nie brakowało. Znajdujemy je we wspomnieniach żołnierzy z formującego się po 1918 Wojska Polskiego oraz walk z bolszewikami w 1920 roku. O boju z nimi - pod Neplami - opowiada Eugenia Wawryszuk: "Rok 1920 dobrze pamiętam. U nas w Starzyńce była wielka strzelanina. We wsi byli polscy żołnierze legionišci... dobrze się bili z Ruskimi... Polacy ustąpili. Do Starzyńki przyszli ruscy żołnierze. Było ich wielu, ale wyglądali marnie - karabiny na sznurku, poćiski za pazuchą. No i byli bardzo głodni... poszli na Warszawę. Niedługo... uciekali spod Warszawy. Bili się z naszymi na bagnety na górze w majątku Neple. Bój przegrali. Uciekając pytali jak daleko do Buga. Nasi mówią: - Dwie wiorsty, a Ruscy: - O, to daleko!"

Obszerniejsze i bardziej dokładne są wspomnienia z okresu II wojny światowej. Przynoszą one bogatą dokumentację źródłową. Jan Trzeciak z Nepli walczył w 1939 r. z Niemcami i z sowietami. Był żołnierzem Samodzielnej Jednostki pułk. Eplera, współdziałającej z dywizją "Polesie" gen. Kleeberga. To on wykopał później skrzynię z kasą oddziału, ukrytą przy plebanii w Woli Gułowskiej, dostał się i uciekł z niewoli niemieckiej, by powrócić do swojego domu w Wistyczach k. Brześcia. Co prawda uniknął wywiezienia na Sybir, ale przeszedł więzienie hitlerowskie, z którego na szczęście został wykupiony przez rodzinę. Ze zgrozą czyta się wspomnienie Józefa Usika, którego w 1939 roku przed zemstą Ukraińców ostrzegli żołnierze sowieccy, a od niechylnej śmierci z rąk ukraińskiej policji (w Okeczynie) uchronił Mikita Pastuszuk, miejscowy pastuszek bydląt w Starzyńce. Zaiste, były to niezwykle wydarzenia w historii Polaków znad środkowego Buga. Ileż tragizmu mieści się w opowiadaniu Władysława Wilarskiego, kaprała 34 pp w Białej Podlaskiej. Kiedy przedzierał się on w 1939 r. spod granicy rumuńskiej, przez tereny wrogo nastawionej ludności ukraińskiej, został zatrzymany w pobliżu Włodawy. Tylko dzięki pomysłowemu fortelowi uratował życie sobie i kolegom. Uzbrojeni Ukraińcy, z czerwonymi opas-

kami, zaprowadzili ich do jakiegoś prezydenta cywilnego, który z miejsca zwy-myślał ich od polskich mord. Wilarski, znający miejscowy prosty język, odpowiadał za siebie i kolegów. Zapytany skąd jest i jak się nazywa, odpowiedział, że jest z pobliskiej wsi i podał jakieś ukraińskie nazwisko. Urzędnik, analfabeta, przygarnął go do piersi jako rodaka i polecił napisać przepustki dla wszystkich, by mogli iść dalej bez zatrzymywania. Dzięki temu powrócił do swojej rodzinnej wsi Dobryń. W 1943 roku, za podawanie jedzenia ukrywającym się w lasach jeńcom radzieckim, został aresztowany przez gestapo i osadzony w obozie koncentracyjnym na Majdanku. Był tam okrutnie torturowany, a pewnego dnia znalazł się nawet w grupie więźniów rozstrzeliwanych. Dobijający więźniów Niemiec pożałował chyba kuli, uznawszy, że już nie żyje. Po jakimś czasie rozstrzelani mieli być zakopani przez czterech więźniów. Zauważyli oni, że Wilarski jeszcze żyje. Został przeniesiony do pobliskiej szopy, skąd wzięły go pod opiekę mieszkające opodal obozu polskie kobiety. Dożył 1997 roku, pełen wdzięczności Bogu i ludziom. Napisał: "Miłość ofiarna zwyciężyła". Nie mniej wstrząsające jest opowiadanie o ukrywaniu w czasie okupacji niemieckiej przez Pawła Kaliszuka ze Starzynki sześciu ludzi: pilota sowieckiego, żołnierza niemieckiego, dwóch żołnierzy sowieckich, Żyda Borysa (Bernarda) z Małoryty i jego towarzysza. Ci ostatni pod koniec wojny ukrywali się m.in. w grobowcu na cmentarzu w Małowej Górze. Po wyzwoleniu wstąpili do wojska. Nie sposób zaprezentować tutaj choćby pobieżnie treści innych wspomnień. Należy nadmienić tylko, że wspomnienie Antoniego Maksymiuka z Terespoła ma charakter autobiograficzny.

! Jest to unikalna biografia: w młodości przystał on do Cyganów, później był więziony przez Sowietów - jako rzekomy oficer polski dostał się do armii gen. Andersa, był w Iranie, Iraku, Palestynie i we Włoszech, (walczył pod Monte Cassino, był ranny pod Ankoną), jego udziałem były dramatyczne przejścia związane z odwiedzinami kraju ojczystego i przymusowym pozostaniem w "zniewolonym kraju".

Agata Christie nie wymyśliłaby barwniejszego życiorysu dla bohatera swojej opowieści! A gdzie są polscy reżyserzy, dlaczego nie wykorzystują tych wspomnień? Coś podobnego ciśnie się również na usta, gdy czyta się opowieść Stanisława Kraciuka z Zaczopek o działalności w Armii Krajowej. A kiedy był na froncie, w 1945 roku, to nieżyjąca już babka Pelagia Kopczuk uratowała mu życie. Tak oto wspomina to wydarzenie: "Słyszę... <Uciekaj>... ktoś szarpie mnie za rękę i widzę wyraźnie, że to moja babka... gdzieś biegnie. Mnie jakby coś rzuciło za nią 20-30 metrów. Babka znikła, a w to miejsce, gdzie leżałem, upadła bomba. Mogę to zeznać pod przysięgą. Pobożna babka nauczyła mnie modlić się za zmarłych..."

Muszę przeprosić większość autorów omawianych tu wspomnień, że nie jestem w stanie nawet napomknąć o ich treści. Po prostu brak na to miejsca. Jednakże wszystkim, zarówno żyjącym i już zmarłym, wyrażamy w imieniu własnym i Czytelników szczerą wdzięczność, że zechcieli podzielić się z nami swoimi przeżyciami, zwłaszcza z młodymi pokoleniami rodaków, i skierować ich serca i myśli ku Bogu i Ojczyźnie.

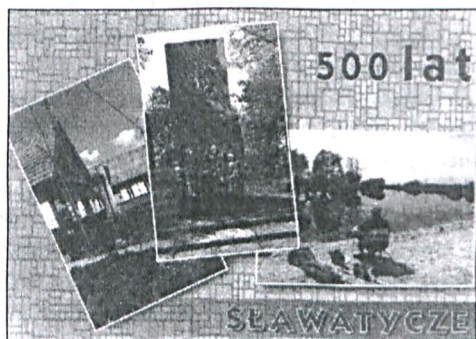
Jerzy M. Cygan, OFMCap.

Grzegorz Michałowski, Teresa Jarmoszewicz, Sławatycze 1499-1999, Sławatycze 1999, s. 82.

Pojawienie się tego wydawnictwa jest ściśle związane z obchodami jubileuszu pięćsetlecia nadbużańskiej miejscowości Sławatycze. Należy tutaj dodać, że to *jest* jak dotychczas pierwsza książka o tej niewielkiej osadzie. Inicjatorem tego przedsięwzięcia był "Honorowy Komitet Obchodów 500-lecia Sławatycz". Autorzy, Grzegorz Michałowski i Teresa Jarmoszewicz, podjęli się niełatwego zadania i, trzeba przyznać, poradzili sobie z nim doskonale. Na 82 stronicach książki czytelnik może znaleźć opisy pięknej przyrody nadbużańskiej (rozdział: "Nadbuzkańska kraina"), szereg wiadomości historycznych - także informacji o pamiątkach jakie zachowały się z lat minionych (rozdziały: "Zarys dziejów", "Nazwa i herb", "Pamiętki przeszłości"), oraz obszerny materiał dotyczący dnia dzisiejszego Sławatycz (rozdział: "Między przeszłością a dniem dzisiejszym").

Jak podkreślone zostało we wstępie, przygotowanym przez przewodniczącego Rady Gminy Sławatycze Józefa Chomiczewskiego i wójta Gminy Dariusza Trybuchowicza, wydarzenia historyczne związane z funkcjonowaniem tej miejscowości nie znalazły się dotychczas w polu zainteresowania ani zawodowych historyków, ani amatorów - regionalistów. Z tej też przyczyny występuje kompletny brak publikacji, czy to książek, czy też artykułów o charakterze naukowym, które poddawałyby syntezie pięciowiekową historię tego dawnego miasteczka. Pojawienie się w/w książki stało się doskonałą podstawą do podjęcia dalszych prac i studiów, wzbogacających wiedzę o tej miejscowości. Jest to również doskonały materiał propagandowy dla całej Gminy Sławatycze, który będzie pobudzał mieszkańców do pełniejszego poznania "własnej" historii, a jednocześnie określał ich miejsce w czasach nam współczesnych. Czytając tę książkę można poznać zarówno realne, rzeczywiste wydarzenia, jak i ciekawe legendy, krążące jeszcze w lokalnej społeczności. Dzięki zamieszczeniu ich w wydawnictwie, utrwalone zostały na wieki. Za to również należą się słowa wdzięczności autorom opracowania.

Przez kilka wieków Sławatycze były miasteczkiem położonym w Wielkim Księstwie Litewskim, na terytorium dawnej Ziemi Brzeskiej. Ścisłe też były związki tej miejscowości z największym w tym rejonie grodem Brześć, a także z Włodawą. Związki z Brześciem miały nie tylko charakter ekonomiczny, ale również administracyjny: feudalne powinności wypełniano nie gdzie indziej, a na Brzeskim Zamku, a w okresie, kiedy Sławatycze utraciły (czasowo) prawa miejskie, to znajdowały się pod jurysdykcją brzeskiego starostwa. Z inicjatywy książąt Prońskich nadano miejscowości tzw. prawa magdeburskie w 1577 r. W drugiej połowie XVII wieku Sławatycze stały się znaczącym ośrodkiem reformacji, tutaj m.in. odbywały się synody i zjazdy kalwinów. Na okres ten przypada również pojawienie się w okolicach Sławatycz potomków osadników holenderskich, tak zwanych "oleńców", którzy odegrali znaczącą rolę przy zagospodarowywaniu ziem nadbużańskich. Powstała nawet legenda, wiążąca się - jakoby - z nadaniem nazwy dla Domaczewa, miejscowości leżącej po drugiej stronie Bugu. Okoliczna ludność niezbyt chętnie patrzyła na obcojęzycznych przesiedleńców, z dużymi oporami przyjmowała ich w swoim otoczeniu.



W związku z tym sprowadzono tłumacza, który po holendersku nazywał się "Dolmechster". Trudne do wypowiadania zagraniczne słowo miejscowa ludność wkrótce zamieniła na "Domaczew".

Prawdopodobnie rozwój Sławatycz i Domaczewa pod wieloma względami przebiegał równolegle i podobnie. Wiadomo, że w XIX wieku w miejscowościach tych była zbliżona liczba mieszkańców, około 1500 w Sławatyczach i oko-

ło 1100 w Domaczewie. Tak prawdę mówiąc, to o Domaczewie zachowało się bardzo mało wiadomości. Pierwsza wzmianka pochodzi z 1840 r. (dokumenty Archiwum Państwowego w Grodnie), chociaż są wszelkie podstawy aby sądzić, że miejscowość istniała już dużo wcześniej. Żadne źródło nie informuje do kogo mogło wcześniej należeć Domaczewo. I oto pole do działalności, zresztą nie jedyne, do penetracji i poszukiwań dla białoruskich regionalistów!

Jeśli chodzi o wiek XX, to losy obu miasteczek były w dużym stopniu podobne: dość pomyślny rozwój w latach międzywojennych, a następnie znaczne zniszczenia w latach II wojny światowej. Zginęli prawie wszyscy Żydzi, którzy przed wojną stanowili około połowy mieszkańców tych sąsiadujących ze sobą - przez Bug - miasteczek. Po wojnie Sławatycze i Domaczewo, po raz pierwszy w swojej historii, stały się miejscowościami pogranicznymi, leżącymi w różnych państwach. W normalnych warunkach takie położenie powinno sprzyjać ich ekonomicznemu i społecznemu rozwojowi. W rzeczywistości jednak graniczny Bug stał się swojego rodzaju barierą, oddzielającą sąsiadów od siebie. Domaczewo przed wojną było niezwykle popularnym ośrodkiem wypoczynkowym, gromadzącym w okresie sezonu nawet do 10 tys. urlopowiczów. Po wojnie zdecydowanie utraciło na znaczeniu. Również w Sławatyczach w latach powojennych występowały okresy gospodarczego zastoju.

Ożywienie w tej części nadbużańskiego regionu nastąpiło dopiero w ostatnich latach, kiedy urzeczywistniono pomysł zorganizowania dodatkowego przejścia granicznego Domaczewo - Sławatycze. Nowe przejście bardzo szybko stało się ważnym elementem infrastruktury granicznej. Granica zaś, wskutek społeczno-ekonomicznej transformacji w krajach Środkowej i Wschodniej Europy, zaczęła zmieniać swój charakter z politycznego na ekonomiczny. Staje się ona obecnie, w coraz szerszym zakresie, miejscem międzynarodowej współpracy. Chciałoby się wierzyć, pomijając występujące jeszcze różnice w potencjałach rozwojowych po obu stronach rzeki, że Sławatycze i Domaczewo będą w przyszłości pomyślnie rozwijać się, że wiele tych osiągnąć będzie wspólnych, tak jak na przestrzeni minionych setek lat.

Podsumowując, chcielibyśmy wyrazić kilka uwag ogólnych. Szczególną zaletą tej książki jest to, że oprócz szkieletowego przedstawienia dziejów miejscowości, Grzegorz Michałowski i Teresa Jarmoszewicz pokazali również dzień dzisiejszy

tej nadbużańskiej osady. Żyjący współcześnie to ci, którzy kształtują dzieje Sławatycz, a skoro już o nich napisano w książce, to niejako weszli do historii. Są więc nauczyciele, pracownicy służby zdrowia, strażacy, działacze kultury, samorządowcy, bankowcy i spółdzielcy, wreszcie handlowcy i służby graniczne. Jednym słowem: "wielki świat małego miasteczka". I warto chyba było trochę ograniczyć część historyczną, by pokazać współczesne problemy i osiągnięcia lokalnej społeczności. Wskazane byłoby, aby wydawnictwo o podobnym charakterze pojawiło się znacznie więcej, gdyż kształtują one świadomość lokalnych grup społecznych, rozbudzają zamiłowanie "do swojej małej Ojczyzny". Słowa uznania należy skierować do władz samorządowych Gminy Sławatycze - wójta Dariusza Trybuchowicza i przewodniczącego Rady Gminy Józefa Chomiczewskiego, którzy uznali, że wydanie książki o ich miejscowości będzie jednym z najważniejszych punktów obchodów Jubileuszu 500-lecia. Kończąc, pozwolę sobie zacytować ich jakże interesującą wypowiedź, zamieszczoną w przedmowie:

"Nic nie jest tak cennego i trwałego jak tekst drukowany, jak utrwalona przy jego pomocy wiedza. Budynki znikają, ludzie odchodzą, o imprezach i rocznicach zapomina się, natomiast książka trwa w czasie, zarówno terazniejszym, jak i przyszłym. Jesteśmy przekonani, że powstałe wydawnictwo będzie dobrze służyło nam, naszym dzieciom i wnukom, a także kolejnym pokoleniom sławatyckiej społeczności".

Zaiste ... przykład godny naśladowania!

Irina i Wadim Pawluczuk
(Brześć - Białoruś)

Helena Romaszewska, Wielolistek serca, Biała Podlaska 1998, Klub Kultury "Eureka", s. 73.

Wiele słusznych, a jeszcze więcej chybionych opinii wygłoszono na temat tzw. poezji kobiecej. Przezorność w dzieleniu zjawisk literackich jedynie według kryterium płci - jest jak najbardziej wskazana. Przypuszczam, że i kobietom piszącym bardziej odpowiada podział na poezję dobrą i tę gorszą. Blisko ćwierć wieku temu znakomita poetka - Anna Świrszczyńska zapowiadała: "Przyszedł czas na poezję wielkich uczuć i wielkich problemów moralnych". Każdy, kto podąża za rozwojem poezji w ostatnich latach, zna odpowiedź na pytanie, co z tego proroctwa się spełniło. By nadal pozostać z myślami Świrszczyńskiej warto przytoczyć jej postulaty wobec poetów i poezji: "Istnieje w naszym zawodzie - pisze autorka tomu "Jestem baba" - wyjątkowo ścisły związek między prywatną i profesjonalną wartością człowieka. Pracujemy wewnątrz, z własnego wnętrza jak pajak wysnuwamy produkt zawodowej pracy i od jakości tego wnętrza zależy jakość tego, co zrobimy. Tylko ciekawy człowiek może napisać ciekawy wiersz. Tylko wielki człowiek - wielki wiersz. Cudów nie ma." Podobne przekonania towarzyszyły mi podczas lektury najnowszego wyboru poezji

Heleny Romaszewskiej (mieszkającej w Białej Podlaskiej), autorki czterech zbiorów wierszy oraz interesującej prozy o poezji i poetach. Znając jej dotychczasowy dorobek, spodziewałem się kontynuacji tematyki i poetyki znamionującej warsztat w pełni dojrzały ... I nie zawiodłem się.

Wybór wierszy zatytułowany "Wielolistek serca" - to zbiór niemal monotematyczny. Autorka tych jasnych, ciepłych, ludziom przyjaznych i bezpruderyjnych utworów, od dawna, jeśli nie od początku, preferuje temat miłości. Jakby w opozycji do innych twórców - kroczy własną drogą. Jakby na przekór innym poetom, którzy wstydzą się (nie wiedzieć czemu) swoich ludzkich uczuć, tego co jest w nich najbardziej świeże, głębokie, żywiołowe. Wstydzą się zarówno swoich wielkich miłości, jak i swoich wielkich pragnień z nią związanych.

Siedemdziesiąt jeden krótkich, nierzadko epigramatycznych wierszy, przewodników po - jak zawsze baśniowym - królestwie miłości. A każdy z nich czyni to z niezwykłą subtelnością i kulturą, zachowując specyficzny sposób komunikowania się kochanków. Wartością poezji miłosnej (erotycznej) jest zawsze jej szczerość, zatem - odwaga. Na przykład w takim oto wyznaniu:

lubię być naga
by całą powierzchnią czuć ogień wulkanu
lubię gdy
teraz
wybuchasz
we mnie

(rozbudzenia)

Lub innym:

z tobą
z ciszy lubię wchodzić
w dreszcze

(ogień w dłoni)

Temperatura podmiotu lirycznego często osiąga w tych wierszach kulminację, a kunszt słowa (skądinąd nie wyszukanego) sprawia, że czytelnik ufa, iż taki żar ma zaplecze w osobistych doświadczeniach:

żarzysz mi się zawsze
jak leśna ruń w upały
ledwie cię dotknę
ledwie musnę koniuszkiem
płonę jak las
cały

(zapal)

Owo misterium miłosne, tak plastycznie przedstawione przez autorkę, misterium, które zapewne większość z nas zna jedynie z literatury (i filmów), ale o którym uparcie marzy, nie jest czymś niemożliwym, jak nam się - zbyt często - wydaje:

z różnych światów zdążamy
uczyć się nieba

(naucz mnie widzieć niebo i dziewczannę)

Jeśli już jest, wypełnia wszystko, a zawłaszcza "wciąż nowe miejsca i nowe godziny"
 coś niepowtarzalnego
 na dywanie pod oknem
 znaleźliśmy
 zupełną wyjątkowość

(osobliwość)

Niektóre wiersze H. Romaszewskiej nazywają to, czego w miłości się nie wybaczają i co stanowi źródło cierpienia. Chłód uczuciowy, niedostępność, zdrada, brak ufności, brutalność. Mało odkrywcze konstatacje? Może, ale przecież dziś można zdradzić kochankę z telewizorem, czy Internetem! I każdy dla siebie odkrywa tę gorzką Amerykę. A co począć, gdy najukochańsza osoba zdradzi nas z tą, którą E. Stachura nazwał "feudalną właścicielką naszych dni i nocy"? Wtedy będzie dokładnie tak, jak w tym wierszu "nad zgiełkiem":

wesoło tu
 a ciebie nie ma przy mnie

komu oni grają
 te skoczne kawałki

Miłość jest kwintesencją życia i jego nadzieją:

nie wiem po co Feniks
 odrodzi się za pięćset lat
 nie będę czekać

miłość urodzi się dziś
 żeby zarzucić ręce na szyję
 i zostać

(z popiołów)

Nie chodzi tu o to, by cytować wszystko, co przykuło naszą uwagę lub poruszyło czułą stronę duszy. Dostrzegam w tomie H. Romaszewskiej wielkie bogactwo życiowych doświadczeń i przemyśleń, niezwyklej konsekwencję w wysuwaniu na plan pierwszy wyznawanych wartości. Wierność sobie samej. To bardzo dużo! Ale jakże dalekie są te wiersze od narcyzmu i egocentryzmu, choć nie pozbawione - jakże kobiecej - kokieterii. Wychylają się bowiem w kierunku czytelników spragnionych ciepła, drogowskazów emocjonalnych, dialogu. Każdy z nich z pewnością odnajdzie w nich siebie i raźniej mu będzie w ich towarzystwie.



Słowa są po to, wiersze są po to, by łączyć ludzi:

słowo

źródło połączeń

bo inaczej po co

(*dialog dojrzewa*)

"Źródło połączeń", dialogu, dyskretnej poetyckiej porady, a nie tylko element czystej erotyki. Bo i tę erotykę można postrzegać przecież w płaszczyźnie duchowej więzi między ludźmi. Nic to, że te wiersze głoszą pochwałę kobiecości, że stawiają tylko te, które zasługują na miano Kobiety. W tej poezji pełnej wykrzykników, entuzjazmu wyzwolonej radości, pochwały niezmierzonych możliwości ciała, znajdują właśnie potwierdzenie potrzeby tworzenia wciąż nowych, dobrych wierszy miłosnych. To tylko erotyczny turpizm, kraszony wulgaryzmami i idący z nim w parze erotyczny cynizm - zużywają się i obumierają, choć tak niegdyś szokowały.

Jestem recenzentem "sezonowym" (tj. od przypadku do przypadku) i mam ten przywilej wyboru omawiania tylko tych zjawisk, które okazały się bliskie mojemu "czuciu" i myśleniu o poezji. Wybrałem!

Ryszard Chojecki
(Łosice)

Renata Ostrowska, Mój dom, Siedlce 1998, Centrum Kultury i Sztuki Województwa Siedleckiego, ss. 75, il. 45.

Książka tchnie atmosferą rodzinnego i ojczywego ciepła. Korczew i tamtejsza zabytkowa budowla, z wielkim trudem podnoszona z ruin, to dla autorki rodzinny dom. W tej rozległej podlaskiej wsi największą atrakcją jest właśnie ten pałac, zbudowany w kształcie litery U, z klasycznym frontonem i wyeksponowanymi jońskimi kolumnami, z dwiema bocznymi oficynami. Za nim znajduje się park, pośrodku którego zlokalizowana jest letnia rezydencja, zwana tutaj Syberią. Ze znajomością historii i wyobraźnią, kreśli Renata Ostrowska dzieje magnackiej rezydencji, a także korczewskiej osady, położonej w malowniczej dolinie Bugu.

W 1401 roku, gdy tereny te należały do Wielkiego Księstwa Litewskiego, Korczew i Szczegłacin zostały nadane Pretorowi herbu Świńcycz. Już pierwsi właściciele Korczewa przyjęli nazwisko Korczewskich. W 1460 roku Przeclaw i Kordula Korczewscy wybudowali w pobliskim Knichówku drewniany kościółek parafialny. Z biegiem czasu zmieniali się właściciele Korczewa: po Korczewskich nastąpili Hlebowicze, Chaleccy, Lewiccy, od 1712 roku Kuczyńscy, po nich zaś Ostrowscy (z linii hrabiowskiej). Autorką "Mojego domu" jest córka Krystyna Ostrowskiego zmarłego na emigracji w 1980 roku) i Wandy z domu Krafft. Jej ojciec wyjechał z Polski, wraz z rodziną we wrześniu 1939 roku. Był członkiem ekipy transportującej polskie złoto za granicę.

Renata Ostrowska, która była starszą z dwóch córek, pozostała w kraju i tutaj przetrwała okupację niemiecką, pracując jako pielęgniarka w Szpitalu Maltańskim

w Warszawie. Z rodziną połączyła się dopiero po wojnie, po wyjeździe do Anglii. Tam podjęła studia wyższe, a po kilku latach uzyskała magisterium z historii sztuki. Zna biegle kilka języków. Jest osobą czytana, światłą, uprzejmą; niżej podpisany miał zaszczyt poznać ją oraz jej młodszą siostrę Beatę Ostrowską - Harris, podczas uroczystości wręczenia im nagrody im. Ludomira Benedyktynowicza (Siedlce, 1988). Ostrowscy utracili podczas wojny znaczący majątek ziemski, na który składało się około 20 tysięcy hektarów ziemi ornej, lasów, stawów i łąk, obejmujących głównie klucz korczewski, złożony z Korczewa i folwarków: Bartków, Joanki, Józefin i Czaple. W samym Korczewie był tartak, młyn, młeczarnia, obora (jedna z głównych hodowli "białogrzbietek" w Polsce), stajnie cugowe i folwarczne. Zajmowano się tutaj rybołówstwem, hodowlą srebrnych lisów oraz produkcją serów. W pozostałych folwarkach znajdowały się również stajnie, obory i chlewnie. W Bartkowie



Pałac w Korczewie, około 1980 r.

była gorzelnia. W odległości 7 km od Korczewa zaczynały się duże obszary leśne Drażniewa, a dalej w kierunku na Łosice - położony był majątek Woźniki (rybołówstwo, gorzelnia). Główne tereny leśne z tartakiem - zlokalizowane były w okolicach Miednika i Międzylesia, niedaleko od Stoczka Węgrowskiego. W skład posiadłości tego rodzaju wchodził również klucz Jartypory, z folwarkami Miedzna, Butlerów i Warchoły - w pobliżu Węgrowska. Jest to tylko ogólny, niepełny przegląd stanu majątkowego Ostrowskich. W 1929 roku rodzice autorki stali się właścicielami pałacu przy ulicy Miodowej w Warszawie; był to dawny Pałac Igłostroema, naprzeciwko kościoła kapucynów. Wymagał on gruntownego remontu. Prace remontowe trwały, podobnie jak reperacje szkód w pałacu korczewskim (powstałych podczas I wojny światowej), aż do września 1939 roku. Ostrowscy dysponowali także własnym, dobrej marki, samochodem osobowym, którym corocznie wyjeżdżali za granicę. Należy zauważyć, że ten imponujący majątek wymagał stałego, systematycznego nadzoru, koordynacji poszczególnych obszarów działalności gospodarczej, co wyjątkowo skutecznie wypełniał ojciec autorki. Przed wojną odgrywał on dużą rolę w życiu gospodarczym Polski, był m.in. prezesem Międzynarodowej Naczelnej Organizacji Przemysłu Drzewnego. Korczew był przed wojną miejscem spotkań inżynierów zajmujących się gospodarką wodną, ośrodkiem wiedzy, kultury, myśli technicznej i nowoczesnego rolnictwa dla całej okolicy. Tak m.in. oceniał to Cezary Starchewski z Wydziału Ochrony Środowiska w Siedlcach. Krystyn Ostrowski w szerokim zakresie oddawał się działalności społecznej i politycznej. Warto to podkreślić, gdyż na ogół z trudem kojarzymy

sobie możliwość harmonijnego funkcjonowania zamożności z bezinteresownym zaangażowaniem się na rzecz dobra wspólnego. Także na emigracji brał czynny udział w działalności społeczno - politycznej, pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej.

Książka Renaty Ostrowskiej ma tę wielką zaletę, iż w sposób wyważony prezentowana jest w niej przeszłość i współczesność Korczewa. W tle widoczna jest cała sieć różnych powiązań: towarzyskich, rodzinnych, politycznych, społecznych - wiążących się zarówno z życiem całego kraju jak i środowiskami emigracyjnymi. Drogie jej sercu są wątki religijne oraz tradycje rodzinne. Otwarta jest również na wszystko, co się dzieje dzisiaj wokół nas. Miała i ma kogo wspominać, i co wspominać. Bogate i cenne są doświadczenia życiowe. Jeśli chodzi o chlubną przeszłość Korczewa, to słusznie zatrzymuje się przy postaci tzw. "Króla Podlasia" - Wiktoryna Kuczyńskiego, który w latach 1734-36 wybudował w Korczewie barokowy pałac według projektu architekta Konceni'ego Boni. Rozkład wewnętrzny domu zachował się po dzień dzisiejszy. Budynek jest w kształcie litery U, po bokach parterowy, w środku piętrowy. Pokoje mieszkalne zlokalizowane są po obu stronach. W centrum znajduje się wielka sala (piętrowa) z galeriami, która kiedyś wykorzystywana była na zjazdy szlacheckie, zwłaszcza w okresie Konfederacji Barskiej. Poza tym, Wiktoryn ufundował w pobliskim Drohiczynie kościół i klasztor sióstr benedyktynek oraz kościół i klasztor dla ojców dominikanów w Krześlinie, wykorzystany potem przez zakon bernardynów. Jego syn Leon, zwany też "Królikiem Podlasia", kontynuował tradycję angażowania się i służby dla kraju, był m.in. głównym organizatorem Konfederacji Barskiej na Podlasiu. Także Feliks, syn Leona, podczas Insurekcji Kościuszkowskiej poszedł w ślady ojca. Z kolei syn Feliksa i Józefy z Butlerów - Aleksander - podczas powstania listopadowego pełnił jako oficer służbę w sztabie generała Chłopickiego. A jego żona, Joanna z Wulfersów, w 1841 roku poznała Cypriana Norwida i pozostawała z nim w szczerej przyjaźni. Aleksander i Joanna Kuczyńscy zajęli się urządzeniem wspaniałego parku korczewskiego, angażując do tej pracy znanego architekta Franciszka Jaszczołda. Córka Ludwika wyszła za mąż za poznanego w Paryżu emigranta Tadeusza hr. Ostrowskiego. Ich syn Aleksander Ostrowski był wielkim miłośnikiem botaniki, dzięki czemu park korczewski nabrał charakteru ogrodu botanicznego. Jego żoną była Helena z Tyszkiewiczów, córka Józefa, arystokraty posiadającego olbrzymią fortunę. Ich pierworodny syn to właśnie ojciec autorki.

Powyższa prezentacja książki Renaty Ostrowskiej oddaje jedynie powierzchownie jej zawartość. Autorka przy każdej postaci czy też przy każdej małżeńskiej parze dziedziców Korczewa omawia drobiazgowo szczegóły z ich życia: prowadzoną działalność, dokonania, zamiłowania, zalety i słabości. Aż dziwi bierze, iż w tak niewielkiej książce tak wiele mogła opowiedzieć, do tego w sposób obrazowy (i literacki). Treść doskonale uzupełniają liczne fotografie dobrze wykonane i dobrane. Wiele dają do myślenia te wspomnienia, dokumentujące również nasz trudny wiek XX, czasy hitleryzmu, bolszewizmu i rodzące się nad nimi zwycięstwa.

Jerzy M. Cygan, OFMCap

A. Błędowska

Agnieszka Błędowska jest młodą artystką, która studiowała w Poznaniu malarstwo, rzeźbę i grafikę. Obecnie pracuje jako asystent w Instytucie Sztuki i Kultury Plastycznej WSP w Zielonej Górze. Tworzy wykorzystując różne media: fotografię, rysunek połączone z dźwiękiem i obrazem wideo. W białskiej Galerii Podlaskiej zaprezentowała wystawę zatytułowaną "Instalacje". Można ją oglądać od 10.IX do 30.IX.

Nagroda dla H. Kozaka

Henryk Kozak, lubelski poeta, pochodzący z Sitnika k. Białej Podlaskiej, często pisze wiersze związane tematycznie z Podlasiem. Ostatnio z powodzeniem uczestniczył w znaczących konkursach. Na VI Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. W. Olszewskiego organizowany w Bełchatowie, napłynęły 222 zestawy wierszy. Pierwszą nagrodę przyznano właśnie Henrykowi J. Kozakowi.

Koń w Radzynie

"Koń, jaki jest..." to tytuł wystawy, która była wcześniej prezentowana w muzeum Południowego Podlasia, a od 8 września w radzyńskiej Galerii "Oranżeria". Pokazano na niej 40 wizerunków koni, wybranych z liczącej ponad 300 prac białskiej kolekcji obrazów. Większość z nich namalowano podczas plenerów malarskich, które od kilkunastu lat są organizowane w janowskiej Stadninie Koni.

Malwy '99

W dn. 11-12 września odbyła się w Białej Podlaskiej kolejna edycja **Międzynarodowego Festiwalu Piosenki "Malwy"**. Konkurs zorganizowany przez ZAKR i Regionalny Ośrodek Kultury w Białej Podlaskiej, ma na celu promowanie młodych, amatorskich wykonawców. Wzięło w nich udział 24 wykonawców. Część z nich była uczestnikami warsztatów muzycznych w Grabanowie (organizowanych latem). Rywalizację wygrała Katia Burzyńska z Ukrainy, zdobywając "Białą Malwę". Drugą nagrodę "Żółtą Malwę" - jury przyznało Danielowi Kluskowi z Polski (studentowi filozofii), a "Błękitną Malwę" otrzymała Agnieszka Vilkiute z Litwy. Przyznano też kilka wyróżnień. Łącznie uhonorowano 13 wykonawców. Jako "gwiazdy" zaśpiewali na festiwalu Halina Frąckowiak, Andrzej Rosiewicz oraz Czesław Niemen, któremu publiczność zgotowała największy aplauz.

Przegląd Sztuki Ludowej

Po raz pierwszy zorganizowano w pow. białskim **Powiatowy Przegląd Sztuki Ludowej**. Odbył się on we wrześniu w Drelowie. Wzięło w nim udział ponad 20 twórców z terenu południowego Podlasia. Prace rzeźbiarskie prezentowali: Tadeusz Ignatowicz, Zbigniew Chalimoniuk, Krzysztof Rychliński, Andrzej Grzybowski, Marian Ścisiel, Bogusław Lewczuk, Andrzej Gierło, Edward Korszun. Swoje obrazy wystawili Marianna Rychlińska i Bronisław Jaczyńska. Wspaniałe koronki i hafty oraz wzorzyste kilimy prezentowali Sabina Kaczan i Leokadia Nitychoruk. Przegląd odby-

wał się przy akompaniamencie i śpiewie podlaskich muzykantów ludowych.

Kraszewski - Kronenberg

Muzeum J. I. Kraszewskiego w Romanowie przygotowało wystawę pt. "**Józef Ignacy Kraszewski i Leopold Kronenberg** - dzieje przyjaźni".

L. Kronenberg jest postacią mało znaną i mało kto wie, że w drugiej połowie XIX w. był najbogatszym człowiekiem w Królestwie Polskim. Ten bankowiec i przemysłowiec był także mecenasem sztuki. W 1859 r. Kronenberg powierzył kierownictwo swojego pisma "Gazeta Codzienna" młodemu pisarzowi J.I. Kraszewskiemu, który przekształcił ją na "Gazetę Polską" i uczynił najnowocześniejszym w ówczesnych czasach dziennikiem polskim. Na wystawie zgromadzono eksponaty pochodzące z wielu muzeów: rysunki, akwarele, autentyczne dokumenty i fragmenty listów. Ekspozycja powstała dzięki Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga. Czynna była od 17.IX. do 30.XI.

Polscy żołnierze na Zachodzie

"Władysław Ciniuch, Stefan Myszkowski żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie" to temat wystawy przygotowanej przez Oddział Martyrologiczno - Historyczny Muzeum Południowego Podlasia w Białej Podlaskiej. Ekspozycję można było oglądać od 17 września do 2 stycznia 2000 r.

Biesiada Nadbużańska

Dwadzieścia zespołów folklorystycznych z południowego Podlasia wzięło udział w **XII Biesiadzie Nadbużańskiej**, która odbyła się 26 września w Neplach. Występy zespołów oglądało wyjątkowo liczne audytorium. Bardzo

podobała się wielokrotnie nagradzana na przeglądach kapela rodzinna Marczyków z Zakaleinek oraz grupa dziewczęca z Rudna (pod kierunkiem Aliny Faluszewskiej), która śpiewała polskie i "chachłackie" piosenki. W popisach kabaretowych zaprezentowały się "Podlasianki" z Rokitna oraz grupa "Na swojską nutę" z Zahorowa. Wystąpiły też "Worgulanki" (pod kierunkiem Marii Sawtyruk), grupa



śpiewacza i kapela z Wólki Polinowskiej, kapela z Dobrynia Dużego, zespoły śpiewacze z Paszének, Zabłotcia, z Klubu Seniora w Kodniu, klubu "Pogodna Jesień" z Konstantynowa, grupa z Kostomłot, Janowa Podlaskiego, Pawłowa Nowego, a także soliści - Stanisław Klimiuk z Żelizny (grający na listku razem z harmonistą Zygmuntem Mazurem), Nina Nikołajuk oraz fraszkopisarz Julian Żmudziński. Organizatorami imprezy byli ROK w Białej Podlaskiej, starosta powiatowy, ośrodek kolonijno - wczasowy ADAD w Neplach oraz Park Krajo-
brazowy "Podlaski Przełom Bugu".

Wystawa poplenerowa

2 października w Galerii "Oranżeria" odbył się wernisaż fotografii, które

powstały w czasie plenerów, organizowanych w ubiegłych latach w Radzynie Podlaskim. Na ekspozycji zaprezentowano prace fotografików ze Związku Polskich Fotografików Przyrodniczych - okręgu mazowieckiego. Wystawa była czynna do końca października.

Dni Karola Lipińskiego

W ramach XVI Dni Karola Lipińskiego, zorganizowanych pod patronatem marszałka woj. lubelskiego, starosty powiatu radzyńskiego i burmistrza Radzyna Podlaskiego, odbyło się kilka koncertów. 3 października w sali koncertowej PSM w Radzynie Podlaskim wystąpił światowej sławy pianista **Janusz Olejniczak**. 22 października grał tam skrzypek **Adam Musiał**, zaś 5 listopada wystąpił akordeonista **Bogdan Dawłasz**. Imprezę zakończył recital chopinowski **Jacka Maksymiuka**.

Spotkanie literackie

"Podlaskie Spotkania Literackie" każdego roku wzbudzają coraz większe zainteresowanie wśród ludzi pióra. Tegoroczna, 15 już edycja imprezy odbyła się w dn. 4-9 października. Spotkania z literatami zorganizowano w białskich klubach kultury "Eureka" i "Piast", w Miejskiej Bibliotece Publicznej, w siedzibie stowarzyszenia "Civitas Christiana", a także poza Białą Podlaską. 4 X **Wiesław Gromadzki** i **Sławomir Żyłka** prowadzili warsztaty literacko - plastyczne w Gminnym Ośrodku Kultury w Ulanie - Majoracie, 5X **Ryszard Chojecki** opowiadał o swoich spotkaniach z Edwardem Stachurą, 6 X **Wiesław Gromadzki** i **Marian Korczak** spotkali się z czytelnikami w MBP, 7 X w klubie "Piast" prezentował swoją poezję **Leszek Wójtowicz**,

zaś w lokalu "Civitas Christiana" **Krzysztof Kołtun**. 8 X w klubie "Piast" otwarto wystawę malarstwa **Barbary Sawczuk** "Jak ptak..." "Autoportret nr 3". W tym samym dniu odbyło się też spotkanie autorskie piosenkarki **Joanny Rawik** pod hasłem "Piaf - sen życia i miłości", zaś 9 X zaprezentował się **Eugeniusz Kasjanowicz**. 9 października w Muzeum J.I. Kraszewskiego w Romanowie podsumowano "Ogólnopolski Konkurs Literacki im. J.I. Kraszewskiego", który od początku towarzyszył w/w "Spotkaniom". Duże zainteresowanie tą imprezą wśród



literatów, potwierdziło ogólnopolskie jej znaczenie. W dziale poezji nagrody przypadły: - Pierwsza **Romanowi Zasowskiemu** ze Skępego, druga - **Lechowi Lamentowi** z Turka, trzecia - **Elżbiecie Kuc** z Białej Podlaskiej. W dziale prozy wygrała **Anna Czujkowska** z Lublina, drugie miejsce uzyskał **Augustyn Barnkl** z Izdebek, zaś trzecie **Leszek Wójtowicz** z Zamościa. Nagrodę za tematykę podlaską otrzymał **Marek Pietrzela** z Białej Podlaskiej, a za temat związany z Kraszewskim **Zbigniew W. Frączek** z Lublina. Nagrodę Klubu Literackiego "Maksyma" dostała **Maria Wanda Pietrzela** z Białej Podlaskiej.

"Szansa na sukces"

Białczanka, 11-letnia **Georgina Tara-siuk** śpiewająca w dziecięcym zespole "Chwilka", zdobywczyni nagród w ogólnopolskich konkursach, wystąpiła 10 października w telewizyjnym turnieju "Szansa na sukces". Gwiazdą tego programu była **Natalia Kukulska**. Georgina pokonała dziewięciu rywali i wygrała konkurs, śpiewając piosenkę "Dłoń" z repertuaru Kukulskiej. Zyskała bardzo pochlebną ocenę piosenkarki oraz prowadzących program. Wszyscy wróżą jej "wielką przyszłość". Zainteresował się nią także szef firmy fonograficznej Zic Zac. Dziewczynka uzyskała też możliwość konsultacji u prof. Zapedowskiej, nauczycielki wielu gwiazd polskiej estrady.

Turniej w Siemiatyczach

Sporym sukcesem reprezentantów Białej Podlaskiej zakończył się "**I Podlaski Turniej Tańca Narodowego w Formie Towarzyskiej**", który odbył się w Siemiatyczach. Uczestniczyło w nim 68 par z dwóch województw. W kategorii "starsza grupa dziecięca" pierwsze miejsce wywalczyli **Anna Kozioł** i **Dawid Osmulski** z bialskiego ROK-u. W kategorii "starsza grupa młodzieżowa" Grand Prix turnieju zdobyli **Beata Ganobis** i **Krzysztof Juśkiewicz**, zaś trzecie miejsce **Magdalena Osmulski** i **Marek Osmulski**. Wszystkie pary przygotowała do turnieju Barbara Kędra.

II. Rogoziński

Henryk Rogoziński to artysta fotografik, który ma w swoim dorobku ponad 100 wystaw autorskich krajowych i zagranicznych. Od kilku lat bierze udział w plenerach fotograficznych organizo-

wanych na Podlasiu. Galeria Art-Styl (przy Centrum EPI) w Białej Podlaskiej zorganizowała wystawę jego fotografii



pt. "**Biała Podlaska i okolice**", która była czynna od 8 października do końca listopada. Prace Rogozińskiego nie przypominają klasycznych fotografii, a raczej grafikę. Artysta tworzy w rzadkiej obecnie - XIX wiecznej technice (tzw. gumie), która uchodzi za królową technik szlachetnych. Polega ona na specyficznej obróbce negatywu - grafizacji i zziarnianiu.

Dziecko w malarstwie

Zamojska Galeria BWA przygotowała ciekawą wystawę "**Dziecko w malarstwie**". Odwiedziła ona już wiele miast w Polsce. W październiku zawitała do "Galerii Podlaskiej" w Białej Podlaskiej. Jej myślą przewodnią było ukazanie podejścia artystów XX w. do wizerunku dziecka. Obok tradycyjnych portretów znalazły się na tej ekspozycji również kompozycje bardziej atrakcyjne. Można było obejrzeć m.in. prace **Antoniego Fałata**, **Andrzeja Tryzny**, **Łukasza Ko-**

rolkiewicz, Franciszka Maśluszcza-
ka, Stanisława Baja, Włodzimierza
Wasiluka.

"Ziemia Hiobów"

Z okazji 21 rocznicy wyboru Polaka na papieża, młodzież Liceum Katolickiego w Białej Podlaskiej przygotowała spektakl teatralny **"Ziemia Hiobów"** wg sztuki Karola Wojtyły. Przedstawienie zaprezentowano 20 X w kościele Chrystusa Miłosiernego w Białej Podlaskiej. Zostało ono gorąco przyjęte przez kilkusetosobową publiczność.

Podlaska Jesień Teatralna

Miejski Dom Kultury w Białej Podlaskiej zorganizował w okresie od września do grudnia szereg spektakli teatralnych i koncertów. Odbywały się one w ramach **"Podlaskiej Jesieni Teatralnej"**. Zapoczątkował ją (19 X) koncert piosenki poetyckiej w wykonaniu młodzieży z Ciechanowa, Łosic i Siedlec. Odbyły się też: recital **Aloszy Awdijewa** (9 X), koncert piosenki aktorskiej **Adama Andryszczyka**, spektakl w wykonaniu amatorskiego zespołu MDK pt. "Ogonek zajęczka". 9 XI bajkę **"Złotnik głów"** przedstawił **Teatr Banasiów** z Warszawy. Teatr **"Bez Nazwy"**, działający przy bialskim LO im. J.I. Kraszewskiego zaprezentował w dn. 24 XI dramat **"Fizycy"** F. Dürrenmatta. 25 listopada Teatr Polski z Bydgoszczy przedstawił **"Balladynę"** Słowackiego w reżyserii Andrzeja Waldena. 29 XI odbyła się premiera sztuki **"Błękitny zgrzyt"** wg własnego scenariusza i reżyserii białczanina **Ireneusza Wagnera**. 5 XII aktorzy lubelskiego Teatru wystąpili w operetce **"Wiedeńska krew"**. 13 XII **Witold Kopeć** - aktor lubelskie-

go teatru im. J. Osterwy zaprezentował monodram **"Beniowski"**.

Fotograficy nad Bugiem

Już po raz czwarty Miejski Ośrodek Kultury w Siedlcach wraz z Regionalnym Ośrodkiem Kultury w Białej Podlaskiej oraz dyrekcją Parku Krajobrazowego **"Podlaski Przełom Bugu"**, zorganizował w Janowie Podlaskim **Plener Fotograficzny "Podlaski Przełom Bugu"**. Fotograficy spotkali się w dn. 4-10 X. Krajobraz nadbużański i unikalna architektura drewniana w okolicznych miejscowościach przyciągają co roku coraz większą liczbę uczestników. Wśród kilkudziesięciu fotografików znaleźli się tak znani, jak: **Mieczysław Cybulski** - prezes Fotoklubu Rzeczypospolitej, **Wiktor Wołkow** i **Paweł Pierścieński**. Nasz region reprezentowało 8 osób. Wystawa poplenerowa, która zawsze jest efektem tej imprezy, zaprezentowana została w grudniu w Siedlcach.



Nowy spektakl

14 października grupa teatralna **"Warsztat Ekspresji Twórczej"** Janusza Szymańskiego, działająca przy Radzyńskim Ośrodku Kultury wystąpiła na scenie radzyńskiego kina **"Oranżeria"**.

Zaprezentowano dwa spektakle "Chcesz, nie chcesz" i "Żywioty".

Wystawa papieska

Fundacja Ochrony Zespołu Pałacowo-Parkowego w Radzynie Podlaskim i Biuro Promocji Miasta zorganizowały wystawę poświęconą Janowi Pawłowi II. Ekspozycje zaprezentowane na wystawie pochodziły ze zbiorów **Ryszarda Zawadowskiego**, dyrektora Instytutu Dokumentacji Pontyfikatu Jana Pawła II w Rejowcu Fabrycznym. Były to różnego rodzaju materiały, od książek i fotografii, poprzez medale, plakietki, aż do kart telefonicznych i puzzle związanych z Ojcem Świętym. Wystawa była czynna od 16 do 30 października.

Galeria "Es"

Galeria "Es", mieszcząca się w Miejskim Ośrodku Kultury w Międzyrzeczu Podlaskim zorganizowała wystawę prac **Wojciecha Świdra** z Radzyna Podlaskiego. Ukończył on Instytut Wychowania Artystycznego na UMCS. Zajmuje się malarstwem, rysunkiem i grafiką. Swoje prace prezentował m.in. w Danii, Niemczech. Wystawa była czynna do 14 XI.

Grafika w ROK

Renata Owczaruk, Katarzyna Abramowicz, Marzena Grązko i Renata Sobczak są absolwentkami wydziału artystycznego UMCS, pochodzą z pow. białskiego. W Regionalnym Ośrodku Kultury przygotowały wystawę swoich prac dyplomowych. Wszystkie grafiki wykonane zostały techniką linorytu i suchej igły. Ekspozycja była czynna od 29 X do 10 XII.

Muzyka u Radziwiłłów

Koncert pianisty **Jerzego Sterczyńskiego** oraz wychowanków Państwowej Szkoły Muzycznej im. F. Chopina w Białej Podlaskiej zainaugurował 28 X cykl "Muzyka u Radziwiłłów". W związku ze 150 rocznicą śmierci patrona szkoły, koncert został w całości wypełniony kompozycjami wielkiego artysty. 19 listopada w ramach w/w cyklu wystąpił kwartet stroikowy Filharmonii Narodowej w Warszawie. Wykonywał on utwory Mozarta, Gershwin, Derfla.

Teatry obrzędowe

"Prezentacje Teatrów Obrzędowych" w Drelowie zorganizowane zostały przez Regionalny Ośrodek Kultury w Białej Podlaskiej oraz Gminne Centrum Kultury w Drelowie. Były to eliminacje powiatowe konkursu. Wzięło w nich udział kilka grup folklorystycznych. Pierwszą nagrodę zdobył zespół z Worul za widowisko obrzędowe "Tołoka" (darcie pierza). Dwie drugie nagrody otrzymały: grupa z Huda za spektakl "Odwidki", czyli spotkanie kobiet w domu młodej matki, oraz zespół kobiet z Zahorowa za widowisko związane z przedzeniem lnu. Trzecią nagrodę uzyskał zespół z Derewicznej. Dyrektor ROK przyznał też specjalną nagrodę grupie z Jakówek, która zaprezentowała zwyczaj związane z kiseniem kapusty.

"Mazowsze w Białej"

Na zaproszenie Regionalnego Ośrodka Kultury w hali sportowej Instytutu Wychowania Fizycznego i Sportu wystąpił **Państwowy Zespół Pieśni i Tańca "Mazowsze"**. Zespół ten występował już na wszystkich kontynentach, propagując polską kulturę ludową. Koncert odbył się 24 października.

Miasto

Ośrodek Pracy Twórczej Galeria Podlaska zaprosił na początku roku bialskich artystów do wzięcia udziału w konkursie - wystawie "**Miasto.**" Patronował jej wiceprezydent Białej Podlaskiej - Waldemar Godlewski. Swoje prace złożyli: **Elżbieta Centkowska, Jacek Centkowski, Mirosław Gromada, Adam Korszun, Robert Łuczka, Roman Pieńkowski, Mieczysław Skalmowski, Jarosław Stuk, Wojciech Żuliński.** Zaprezentowane zostały one na wystawie w Galerii w dn. 29 X do 25 XV. Nagrodę wiceprezydenta otrzymał **Robert Łuczka**, dyr. Hotelu "Capitol" nagroził **Romana Pieńkowskiego**, zaś dyr. Galerii Podlaskiej **Mieczysława Skalmowskiego.**

Duńskie książki dla dzieci

Dania jest krajem, w którym do książek dla najmłodszych przywiązuje się ogromną wagę. Duński Instytut Kultury w Polsce przygotował wystawę, prezentującą dorobek wydawniczy kraju w tej dziedzinie. Nosi ona tytuł "**Świat wrażeń i przygód. Duńska literatura dla dzieci.**" Ekspozycja zawitała do Białej Podlaskiej dzięki Miejskiej Bibliotece Publicznej oraz Regionalnemu Ośrodkowi Kultury, w którego lokalu ją umieszczono. Złożyło się na nią 9 plansz; każda z nich prezentowała inną tematykę. Obok eksponatów znajdował się kącik bajek, w którym dzieci mogły posłuchać z kasety wybranej przez siebie książeczki. Wystawa była czynna od 4 do 30 listopada.

Podlaskie Spotkania Regionalne

W dn. 22-24 października w Sokołowie Podlaskim odbyły się "**III Podlaskie Spotkania Regionalne**" zorganizowa-

ne przez Radę Krajową Regionalnych Towarzystw Kultury i Sokołowskie Towarzystwo Społeczno - Kulturalne. Tematem konferencji było "Podlasie jako region". Wzięli w niej czynny udział także regionaliści z Białej Podlaskiej.

Zaduszki Jazzowe

Dzięki inicjatywie Białkopodlaskiego Stowarzyszenia Jazzowego, które od lat organizuje koncerty w ramach "Zaduszek Jazzowych", w ostatni weekend października wystąpili w lokalu "Rudy Kot" saksofonista **Tomasz Szukalski** i trębacz **Piotr Wojtasik**, wspomagani przez bialskie Jazz Trio, 13 listopada bialscy instrumentalisci, w asyście znane go saksofonisty **Wiesława Wysockiego**, wystąpili w klubie NOT.

"Nasz świat"

W dn. 30 X - 7 XI Galeria Podlaska wystawiła prace plastyczne wykonane przez osoby z zaburzeniami psychicznymi ze Środowiskowego Domu Samopomocy, działającego przy Miejskim Ośrodku Pomocy Społecznej w Białej Podlaskiej. Wystawa nosiła tytuł "Nasz świat, nasze prace". Licznie przybyli na wernisaż goście częstowani byli smakołykami, przygotowanymi osobiście przez bywalców Domu Samopomocy.

"Warszawianka" w Radzynie

Jednym z punktów programu Święta Niepodległości w Radzynie Podlaskim było zaprezentowanie przedstawienia przygotowanego przez uczniów Gimnazjum nr 1. Na deskach sceny "Oranżerii" zagrali oni jednoaktówkę Stanisława Wyspiańskiego "Warszawianka". Sztukę opracowała scenicznie Urszula Pietras. Przedstawienie zostało gorąco przyjęte przez publiczność.

"Białe kruki" w muzeum

Muzeum Południowego Podlasia wzbogaciło się o unikalne dokumenty z XVIII i XIX w., istnienia których nawet nie podejrzewali badacze historii Podlasia. Dotyczą one dawnych dóbr Radziwiłłów w okolicach Sławatycz. Są to: inwentarz "państwa sławatyckiego" z 1765 r., wypisy z ksiąg grodzkich z 1755 r. oraz dwie XIX-wieczne mapy posiadłości sławatyckich. Dokumenty zakupione zostały od mieszkanki pow. bialskiego. Były one od kilku pokoleń przechowywane wśród dokumentów rodzinnych.

Twórczość na wsi

W połowie listopada w wielu powiatach woj. lubelskiego odbywały się eliminacje **"Wojewódzkiego Przeglądu Twórczości Artystycznej Wsi"** zorganizowanego przez Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie. 13 listopada w sali Gminnego Ośrodka Kultury w Janowie Podlaskim odbyły się eliminacje dla pow. bialskiego. W konkursie wzięło udział 13 zespołów. Po kilku godzinach zmagania na scenie wyłoniono zwycięzców. W grupie śpiewaków nagrody otrzymały zespoły z Drelowa, Konstantynowa, Rokitna, Zakalinek i Zahorowa. Nagrodzono też kapelę Marcuków i Mikołaja Romaniuka z Dobrynia Dużego. Wysoko oceniono widowisko obrzędowe "Rajko" w wykonaniu "Worgulanek". Wójt gminy Janów Podlaski Bożena Nowicka przyznała własne nagrody chórowi "Janowianie" i grupie z Jakówek, zaś starosta bialski Tadeusz Łazowski wyróżnił zespoły "Janowskie Duszki" i "Pawłowianki". 14 listopada w sali Radzyńskiego Ośrodka Kultury odbyły się eliminacje konkursu dla pow. radzyńskiego, łukowskiego

i ryckiego. Komisja pod przewodnictwem **Haliny Weremczuk** (dyr. WDK w Lublinie), najwyżej oceniła "Teatr Wiejski" z Sitna, który znakomitą interpretacją sztuki "Zawierucha" rozbawił publiczność do łez. Druga nagroda przypadła zespołowi z Osowna, zaś trzecie grupie z Karczmisk. W kategorii zespołów śpiewających nagrodzono zespół z Woli Osowińskiej i z Krasewa. Nagrody ufundował starosta powiatu radzyńskiego oraz Wojewódzki Dom Kultury z Lublina.

Dudek - Dürer

Andrzej Dudek jest artystą bardzo oryginalnym. Wierzy, że jest siódmym wcieleniem renesansowego artysty Dürera. Tworzy sztukę performance, przygotowuje instalacje, maluje, rzeźbi. Zjmuje się też muzyką i antypoezją. Pracował w wielu krajach, m.in. w USA, Kanadzie, Nowej Zelandii, Australii. Jego prace znajdują się w wielu zagranicznych muzeach. 9 XI przedstawił w Galerii Podlaskiej performance żywej rzeźby oraz tworzył instalację "Meta... Ambiwaleńce" oraz wystawę "Sztuka Butów po 30 latach i parę innych magicznych obrazów". Twórczość A. Dudka gościła w Białej Podlaskiej do 21 listopada.

Nowe regionalia

W ostatnim okresie ukazały się: słownik "Pisarze współcześni regionu lubelskiego" pod red. J. Smolarza, który zawiera wiele biografów literatów z południowego Podlasia; S. Kordaczuka: "100 spotkań z historią. Żołnierze września"; album fotograficzny "Biała Podlaska".

Prezydenckie wsparcie

W dn. 26 listopada prezydent Białej Podlaskiej **Andrzej Czapski** i Wiceprezy-

dent **Waldemar Godlewski** spotkali się z członkami Kolegium Redakcyjnego "Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego". Podczas spotkania podsumowano dotychczasowy dorobek wydawnictwa, podkreślając jego znaczący wkład w popularyzowanie tematyki podlaskiej. Prezydent zapowiedział dalsze wspieranie finansowe i organizacyjne czasopisma, wskazał też na potrzebę prętnumerowania go przez szkoły.

Fotografie Tabora

Artur Tabor jest autorem albumu fotograficznego "Bug. Nadbużańskie Podlasie", wydanego w ubiegłym roku. Część fotogramów, które zostały zamieszczone w tym albumie można było obejrzeć na wystawie w białskiej Galerii Podlaskiej w dniach 23 XI - 6 XII.

Radzynianie w Świdniku

Na V Festiwalu Piosenki Literackiej "Świdnicka Jesień z Poezją", który odbył się pod koniec listopada, bardzo dobrze wypadli radzynianie. Imprezę rozpoczął **Jacek Musiatowicz**, artysta już uznany, który zaśpiewał piosenki utrzymane w świątecznym "bożonarodzeniowym" klimacie. Został bardzo gorąco przyjęty przez tamtejszą publiczność. **Joanna Korolczuk**, uczennica LO, która wykonała dwie piosenki jego autorstwa, wyjechała z festiwalu z wyróżnieniem.

Turniej tańca

Już po raz trzeci odbył się w Białej Podlaskiej "Ogólnopolski Turniej Tańca Towarzyskiego o puchar miasta Białej Podlaskiej". Imprezę, przeznaczoną dla młodych tancerzy zorganizował Miejski Dom Kultury wspólnie ze Szkołą Tańca Elżbiety i Stanisława

Juszczuków. Odbyła się ona 26 listopada w sali ZSZ nr 2. W tym roku do rywalizacji przystąpiło 120 par (tj. dwukrotnie więcej niż w poprzednim roku). Konkurencje rozgrywano w wielu kategoriach wiekowych i klasach tańca. Nad przebiegiem turnieju czuwała komisja sędziowska pod przewodnictwem **Marii Kopczyńskiej** z Warszawy. Reprezentanci Białej zdobyli na turnieju kilka nagród. W kategorii dzieci 10-11 letnich, (klasa D) zwyciężyła para **Tomasz Prządka** i **Paulina Rozwadowska** z klubu "Aida". W gronie młodzieży powyżej 15 roku życia (klasa D) zwyciężyli także reprezentanci tego klubu: **Igor Juszczuk** i **Agnieszka Żuchowska**. Zachwyt publiczności i uczestników wzbudził popis pary **Marcin Zawisław** i **Katarzyna Kot** z lubelskiego klubu "Lider", posiadających międzynarodową klasę S.

Przygoda w muzeum

Krzysztof Kowalczyk uczeń II klasy SP nr 5 w Białej Podlaskiej uzyskał wyróżnienie w ogólnopolskim finale konkursu "Moja przygoda w muzeum", którego eliminacje zorganizowało Muzeum Południowego Podlasia. Spośród 1191 nadesłanych prac 19 uhonorowano nagrodami, a 23 przyznano wyróżnienia. Jedno z wyróżnień przypadło białczaninowi, który uczęszcza na zajęcia plastyczne do Klubu Młodego Plastyka działającego przy Klubie Kultury "Piast".

K. Bojarczuk

Krzysztof Bojarczuk jest z pochodzenia radzynianinem, który obecnie mieszka w Nowym Sączu. Ukończył krakowską ASP, a dyplom uzyskał w pracowni miedziorytu. Jest laureatem Nagrody Młodych Związku Polskich Artystów

Plastyków. Jego malarstwo i grafikę zaprezentowała Galeria "Oranżeria" w rodzinnym Radzynie Podlaskim. Wystawa była czynna od 4 XII do 12 I 2000 roku.



Lekcje o regionie

Szkoła Podstawowa nr 9 w Białej Podlaskiej realizuje ambitny program upowszechniania wiedzy o regionie na lekcjach "edukacji regionalnej i dziedzictwa kulturowego". Ciekawy program do nauczania tego przedmiotu napisała nauczycielka **Dorota Artemiuk**. Przewiduje on m.in. zapoznanie się uczniów z piśmiennictwem regionalnym. Do współpracy z w/w szkołą włączył się kierownik Działu Wiedzy o Regionie Miejskiej Biblioteki Publicznej w Białej Podlaskiej - Grzegorz Michałowski, który w oparciu o bogate zbiory regionalne przeprowadził pod koniec roku zajęcia dla klas tej szkoły. Jego prezentacja książek związanych z dziejami Podlasia oraz innych materiałów, cieszyła się dużym zainteresowaniem wśród młodych słuchaczy. Zachęcał on też dzieci do poszukiwania pamiątek i legend związanych z regionem.

Poezja śpiewana

Staraniem Miejskiego Ośrodka Kultury w Terespolu, na początku grudnia odbył

się w tym mieście **Powiatowy Przegląd Poezji Śpiewanej**. W przeglądzie startowało 10 wykonawców z Białej Podlaskiej, Janowa Podlaskiego i Terespolu. Zdaniem jurorów, wśród których był znany bard warszawski **Paweł Bączkowski**, wykonawcy reprezentowali dobry poziom. Pierwszą nagrodę zdobyła **Natalia Barnakl** z Terespol., drugą zespół z III LO w Białej Podlaskiej, zaś trzecią Agata Daniluk z LO im. J. I. Kraszewskiego.

Ptaszyn w Białej Podlaskiej

Staraniem Białkopodlaskiego Stowarzyszenia Jazzowego wystąpił 9 grudnia w sali koncertowej Państwowej Szkoły Muzycznej w Białej Podlaskiej znany saksofonista **Jan Ptaszyn Wróblewski**. Towarzyszyło mu bialskie Jazz Trio. Ptaszynowi bardzo spodobała się współpraca z bialskimi jazzmanami, czego dowodem okazała się prezentacja jednego z utworów nowej płyty Jazz Trio w prowadzonej przez niego radiowej "3" audycji "Trzy kwadransy jazzu".

Bialscy tancerze w Toruniu

Bialscy tancerze, którzy ćwiczą w Regionalnym Ośrodku Kultury pod kierunkiem **Barbary Kędry**, odnieśli sukces na Ogólnopolskim Turnieju Tańca Narodowego w Formie Towarzyskiej o "Toruńską Katarzynkę", który odbył się na początku grudnia. W kategorii do lat 13 zwyciężyła para **Anna Koziół i Dawid Osmulski**. W kategorii 13 - 16 lat też wygrała para ROK - **Beata Ganobis i Krzysztof Juśkiewicz**. Czwarte miejsce też zajęli bialczanie **Magda i Marek Osmulscy**.

Turniej recytatorski

"IV Turniej Sztuki Recytatorskiej i Poezji Śpiewanej", zorganizowany

w grudniu przez Regionalny Ośrodek Kultury w Białej Podlaskiej i Bialskopodlaskie Towarzystwo Literacko-Artystyczne, odbył się pod hasłem "Magiczny Teatr Słowa, czyli rekonesans po najnowszej literaturze polskiej". Przystąpiło do niego 14 recytatorów i 4 wykonawców poezji śpiewanej. Najwyżej oceniono **Przemysława Buksińskiego** z Janowa Podlaskiego (studenta UMCS), za recytację "Opowieści kolonialnej" W. Ślefarskiego i "Pod wulkanem" H. Świetlickiego. Uhonorowani wyjechali również recytatorzy z Łukowa. Dwie drugie nagrody przypadły **Marcie Koszarek** z Siedlec i **Aleksandrze Bosek** z Łukowa. Dwie trzecie nagrody przyznano **Krzysztofowi Mateusiakowi** i **Krystynie Sankowskiej** z Łukowa. Wyróżnienie otrzymała **Aneta Cichosz**, także z Łukowa. Uzupełnieniem turnieju był koncert muzyki **Przemysława Goca** z Poznania, który w swojej twórczości wykorzystuje motywy etniczne, zwłaszcza z muzyki Indian.

Wystawa w "Manhatanie"

Radzyński lokal "Manhatan" gościł wystawę fotografii **Waldemara Krupy**, zatytułowaną "Pejzaż podlaski i pałac radzyński". Ekspozycja połączona ze sprzedażą prac była czynna od 12 do 30 grudnia.

Kombatanckie życiorysy

W grudniu rozstrzygnięty został konkurs "Kombatanckie życiorysy", ogłoszony w marcu przez Zarząd Główny Niezależnego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Białej Podlaskiej. Nadesłano 36 interesujących prac wspomnieniowych. Laureatem I nagrody został **Władysław Martyniek**, mieszkający obecnie w Re-

publice Czeskiej, II nagrodę otrzymał **Eugeniusz Zaliński** ze Szczecina, III zaś **Zinaida Kara** z Białej Podlaskiej.

Husinka'99

Wystawa malarstwa poplenerowego zagościła w grudniu w bialskim lokalu Pizza Hit. Pokazano prace uczestników pleneru, który latem odbył się w Husince. Byli to m.in. **Dariusz Bożyk** z Gdyni, **Tadeusz Cieślak** z Białej Podlaskiej, **Marek Haniszewski** z Bolesławca, **Barbara Malecka** z Poznania i **Janusz Maksymiuk** z Białej Podlaskiej. Wszyscy uczestnicy zostali zauroczeni tamtejszymi krajobrazami, tak że postanowili spotkać się tam jeszcze raz w roku 2000.

Gobelin w Galerii

Helena i Mikołaj Kołasowie to para artystów z Białorusi. Oboje ukończyli Witebski Uniwersytet Przemysłu Lekkiego, katedrę rzemiosła artystycznego. Od 1992 r. są członkami grupy malarzkiej "Pogoń" Związku Malarzy Białorusi. Malują obrazy oraz tworzą tkaninę artystyczną. Uczestniczyli w wystawach zbiorowych i indywidualnych na Białorusi oraz za granicą, m.in. w Niemczech i Polsce. Regionalny Ośrodek Kultury w Białej Podlaskiej zaprezentował w grudniu ich prace na ekspozycji zatytułowanej "Wystawa malarstwa i gobelinu Heleny i Mikołaja Kołasów z Białorusi". Patronował jej starosta bialski i wiceprezydent Białej Podlaskiej.

Opracowała: *Hanna Bajkowska*

Cena 5 zł

W następnym numerze m.in.:

H. Mierzwiński

Biskup Adam Naruszewicz
i jego działalność

W. Szudejko

Z dziejów Ochotniczych Straży
Pożarnych w gminie Łomazy

H. Romaszewska

Wiersze

Ks. R. Soszyński

"Jeśli się nawrócę ... to przez
tego klechę". Ksiądz Edmund
Barbasiewicz 1912-1978
(zarys biograficzny)